

NAOMI HORTON

**Łowca
marzeń**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy Lindsay Forrest spostrzegła przez okno znajomą sylwetkę, miała przez chwilę wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

To tylko złudzenie - tłumaczyła sobie spokojnie - bostońskie słońce już nieraz płatało figle. Wystarczyło, by zobaczyła wysokiego bruneta z charakterystycznym wyrazem twarzy, a wracało znajome uczucie ściśniętego żołądka. Jednak tylko na chwilę, bowiem zwykle była to pomyłka.

Tym razem nie miała jednak żadnych wątpliwości. To on. Ryan McCrea wrócił.

Lindsay wstrzymała na chwilę oddech, roześmiała się nerwowo i wolnym krokiem podeszła bliżej okna. Boże, co się z nią dzieje? Przecież była przygotowana na tę chwilę. Wiedziała, że wcześniej czy później ona i Ryan McCrea staną twarzą w twarz, że wcześniej czy później on wróci.

Obserwowała, jak przechodzi przez Clarendon Street. Zmienił się. Ciemne i gęste włosy były teraz trochę zaniedbane. A ubranie? Gdzie podziały się jego drogie włoskie garnitury, importowane buty z cielęcej skóry, ręcznie szyte koszule, które sprowadzał co trzy miesiące z Hongkongu od jakiegoś tajemniczego krawca? Teraz miał na sobie wąskie sprane dżinsy, flanelową koszulę i wyraźnie zniszczone buty. Kręcąc z niedowierzaniem głową stwierdziła, że w tym stroju

przypomina raczej dokera niż światowej sławy architekta. Widząc siwe pasemka w jego włosach, podejrzewała, że musiał wiele przeżyć przez ostatnich parę lat. Bała się nawet myśleć o tym, iż mógł wpaść w poważne tarapaty.

Wstrzymała oddech, gdy wszedł na chodnik, ale po chwili odetchnęła zorientowawszy się, że nie zamierzał wejść do budynku. Prawdopodobnie nawet nie zdawał sobie sprawy, że na parterze są jakieś biura i nie zauważył tabliczki *Webster i Forrest, Biuro Architektów*.

Zatrzymał się naprzeciwko jej okna. Ręce na biodrach - doskonale pamiętała tę wyzywającą pozę. Wiedziała, że Ryan nie może jej zobaczyć przez zaciemnione szyby, a jednak cofnęła się bezwiednie. Stał i z zainteresowaniem przyglądał się budynkowi, coraz wyżej zadzierając głowę.

Lexington Towers przecinał niebo jak błyszczący miecz. Okna mieszkań na dwudziestym piętrze miały kształt okrętowych luków. Muszą się teraz mienić jak złoto, pomyślała Lindsay. Popołudniowe słońce, niezależnie od pory roku, zamieniało Lexington Towers w latarnię morską, królującą nad zatoką Back. Wyglądało to dokładnie tak, jak zaprojektowała Lindsay. Pokiwał głową z uznaniem, co sprawiło jej niemałą przyjemność, ale tylko na chwilę. Już dawno przestało ją interesować zdanie Ryana na temat własnych umiejętności.

Okiem fachowca przyglądał się jeszcze poszczególnym elementom budynku, a potem nagle spojrzął na nią. Lindsay przestała oddychać. Przecież mnie nie widzi - tłumaczyła sobie - przyciemnione okna nie mogą mu zdradzić kryjącego się za nimi wnętrza.

Jednak miała wrażenie, że Ryan wie, iż jest obserwowany, jakby czuł jej obecność przez ścianę.

Po chwili odwrócił jednak wzrok i podszedł do szarego maserati. Wysoki wzrost nie przeszkodził mu wsiąść z gracją do małego sportowego samochodu. Uśmiechnęła się ponownie.

No cóż, nawet jeśli miał za sobą trudne chwile, prawie się nie zmienił. Zawsze kochał drogie i szybkie samochody. Były w równej mierze częścią jego życia, jak owe włoskie garnitury, skórzane buty, a nawet ona. Nagle jego wóz ruszył z impetem, wtapiając się w ruch uliczny.

Odjechał. Zniknął dokładnie tak, jak kiedyś zniknął z jej życia. Szybko, cicho i bez słowa.

Lindsay westchnęła głęboko i zamknęła oczy. Powrót Ryana obudził wspomnienia. Mimo woli wracała do minionych lat...

Był jednym z najlepszych architektów tamtych czasów, a ona jego wierną towarzyszką. Cieszyła się z nagród, uczestniczyła w nie kończących się przyjęciach, była częścią jego sukcesu. Zresztą i jej kariera rozwijała się wspaniale. Projekt zatwierdzony przez Lexingtona był pierwszym, ale znaczącym zamówieniem, pierwszym krokiem do sławy w świecie architektury... I nagle... wszystko się urwało.

Brazylia. Samo wspomnienie kładło się ciężarem na jej sercu.

Jaime Fuentes, bajecznie bogaty, ekscentryczny biznesmen, wynajął Ryana, zlecając mu opracowanie projektu domu marzeń w bogatej dzielnicy Rio de Janeiro. Ryan bez wahania przystał na tę propozycję. Po pierwsze - projekt taki błyskawicznie zrodził się w jego głowie, a po drugie - nigdy przecież nie unikał

okazji do sprawdzenia się. Chciał, żeby z nim pojechała; miała być towarzyszką podróży, asystentką i oczywiście kochanką.

To wszystko, co wydarzyło się potem, trudno uznać za możliwe do uniknięcia, wspominała Lindsay. Okoliczności wymuszały trudny wybór między własną karierą a Ryanem, między projektowaniem dla Lexingtona a spędzeniem cudownych sześciu miesięcy w Rio z człowiekiem, którego tak bardzo kochała.

Posprzeczali się. Ryan tłumaczył, że będzie jeszcze wiele takich projektów, jak Lexingtona, że nieraz będzie miała okazję się sprawdzić. Ona oskarżała go o egoizm i kierowanie się wyłącznie własną karierą. Ostatnim argumentem sprzeczki stało się trzaśnięcie drzwi. Ryan wyszedł i przepadł w wieczornej mgle.

Potrzebowała czasu do namysłu. Jeszcze tego samego wieczoru pojechała do Cape Cod. Wynajęła mały domek na plaży, wybierając sąsiedztwo tego, w którym po raz pierwszy oddała się Ryanowi. Gdy dwa dni później wróciła do Bostonu, Ryana już nie było. Nie zostawił żadnej wiadomości, po prostu wyjechał do Rio.

Na pewno wróci, uspokajała siebie. Wyjechał, by jeszcze raz przed podjęciem ostatecznej decyzji omówić plany z Fuentesem. Przecież ją kochał...

Czekała więc. Miesiąc, pół roku, rok. Ból przechodził powoli w rozpacz i skrajną złość, by wreszcie ustąpić miejsca całkowitej obojętności.

A teraz? Lindsay przysiadła na wysokim taborecie, wpatrując się w przypięty do stołu kreślarskiego projekt. Czuła kompletną pustkę. Miejsce uczucia złości, którego oczekiwała, zajęła ciekawość - co

spowodowało, że wrócił do Bostonu po tak długim czasie?

- Lindsay?

Poderwała głowę i zobaczyła wyłaniającą się z korytarza sylwetkę wysokiego mężczyzny.

- Lindsay, muszę z tobą porozmawiać.

- Jeff! - Lindsay zamknęła oczy i odetchnęła z ulgą.
- Przestraszyłeś mnie.

Jeff Webster zachnął się, zamykając za sobą drzwi.

- Nie słyszałaś pukania?

- Pracowałam...

Wzruszył ramionami i zaciągnął się głęboko papierosem.

- Mamy kłopoty, Lindsay.

Przykre wspomnienia ustąpiły pod naporem aktualnych problemów. Lindsay energicznie zeskoczyła z taboretu i spojrzała na Jeffa. Jego wygląd był jak zawsze nienaganny. Spodnie w kant, drogie, wypolerowane buty, po mistrzowsku skrojona marynarka za całe czterysta dolarów. Jedyne niedbale rozluźniony krawat i zmierzwione włosy psuły ten wspaniały styl, który tak bardzo przypominał jej Ryana.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona.

- Zamówienie galerii VanKleef. - Przemierzał biuro, nerwowo wymachując rękoma. - Jasna cholera, a już myślałem, że wygraliśmy. Nie było żadnej konkurencji!

- Co się stało? - spytała ponownie Lindsay, baczenie obserwując Jeffa i tym razem już nie kryjąc zdenewowania. Zgniótł papierosa w popielniczce i szybko wypuścił dym.

- Ktoś w ostatniej chwili wszedł z tanią i dobrą propozycją.

- Skąd wiesz? - spytała spokojnie. - To zamknięta licytacja. Nikt nie zna jej wyników.

- Nie bądź naiwna, Lindsay. Przymij to do wiadomości i niech cię nie interesuje, skąd to wiem.- Jeff wyjął następnego papierosa.

Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymywała się, by nie rzucić w niego czymś ciężkim. Widziała, że nie chciał jej obrazić. Był u kresu wytrzymałości, odkąd korporacja VanKleefa ogłosiła gotowość zakupu wszystkich atrakcyjnych ofert wystroju małej prywatnej galerii, będącej również jego własnością.

- Może jednak wtajemniczysz mnie w to wszystko - powiedziała spokojnie, trochę za spokojnie.

Jeff spojrział na nią zawstydzony.

- Przepraszam cię - mruknął. - Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało, ale naprawdę myślałem, że z VanKleefem nie będzie już żadnych kłopotów.

Przypalił papierosa trzęsącą się ręką. To już niemal desperacja, pomyślała Lindsay. W tak złej kondycji jeszcze go nie widziała. Ani wtedy gdy po odejściu Ryana walczyli o utrzymanie jego firmy. Ani w momencie rozpoczynania działalności na własną rękę, gdy wydawało się, że wzięli na swe barki o wiele więcej niż mogliby udźwignąć.

Strzepnął popiół do nie używanej popielniczki na jej biurku.

- Dziś rano pojawiła się jakaś oferta. Tania i niebezpiecznie podobna do naszego projektu.

- Kim oni są? Znamy ich?

Jeff pokręcił głową.

- Ktoś z Nowego Jorku - *Kismet Architectural*. Słyszałaś kiedyś o nich?

- Nie. - Lindsay zmarszczyła brwi. Na pewno

jakiś waźniak, który próbuje wejść na rynek. Nie ma się czym przejmować.

- Kobieto, przecież tłumaczę ci, że przegraliśmy!

- krzyknął. - To już piąte duże zamówienie, które straciliśmy w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

- Zdarza się. Będą inne.

- Możliwe. - W jego oczach dostrzegła chłód.

- Zrobiłem małe dochodzenie. Każde z tych zamówień przegraliśmy na rzecz tej samej firmy - *Kismet Architectural*. Za każdym razem mieliśmy już podpisany kontrakt, nagle, nie wiadomo skąd, zjawiał się *Kismet* i odchodził z nim w kieszeni.

Ciało Lindsay przeszył niemiły dreszcz. Otrząsnęła się jednak szybko.

- Uwierz mi - to jakiś waźniak z Nowego Jorku, który podkupuje nasze kontrakty za nieprawdopodobnie niskie ceny. Za pół roku zniknie, bo nie będzie mógł wywiązać się ze złożonych obietnic. - Oparła się łokciami o stół. - Jeff, jesteśmy cholernie dobrymi architektami. Jan VanKleff doskonale o tym wie. Nie marnowałby przecież swego ani naszego czasu, bawiąc się w tego typu podchody. Jest sprytnym biznesmenem, czującym za sobą oddech rady nadzorczej i nadzianych akcjonariuszy, a to znaczy, że w równym stopniu, co sam projekt, ważne jest dlań zaufanie do projektanta i znaku jakości firmującego dzieło.

- Zaoszczędź mi tego wykładu, Lindsay - syknął Jeff. - Zrobiliśmy kawał dobrej roboty przy pozostałych czterech projektach, a mimo to przegraliśmy. To nie jest jakiś tam domek na przedmieściu, tylko jedno z najpoważniejszych od lat prywatnych przedsięwzięć w tym mieście! - Odwrócił się, zaciskając pięści. - To jest życiowa szansa!

Lindsay z trudem powstrzymywała złość. Te ostatnie parę miesięcy i stracone kontrakty nie dawały Jeffowi spokoju. Marzył o następnym Atrium.

Tak, Atrium. Cudowny szklany wieżowiec w centrum Bostonu. Jeszcze dziś, na samo wspomnienie, Lindsay czuła miły dreszczyk podniecenia. Jeff zdobył za ów projekt tak wiele nagród i dyplomów, że mógłby wytapetować nimi swoje biuro. Zresztą nie ma żadnych wątpliwości - to był najlepszy projekt jego życia.

I na tym polegał cały problem. Żadna z następnych prac nie była nawet w połowie tak dobra; od roku nie miał poważniejszego zamówienia, dlatego tak bardzo zależało mu na galerii VanKleefa.

- Jeff, jeszcze nic straconego - powiedziała cicho. Uśmiechnął się gorzko.

- Nie łudź się. - Podszedł do okna. - On wrócił. - Obejrzał się, by zobaczyć jej reakcję.

Lindsay znieruchomiała na moment, wbiła wzrok gdzieś w okno, jednak po chwili odpowiedziała zupełnie spokojnie:

- Wiem.

Jeff patrzył na nią zdziwiony i zaskoczony.

- Widziałaś go?

- Tak, ale tylko na ulicy... nie rozmawiałam z nim.

Jeff zaciągnął się mocno papierosem i obserwował ją przez spirale dymu.

- Będzie cię szukał.

- Nie sądzę - rzuciła obojętnie. - Jest tu najprawdopodobniej przejazdem. - Wiedziała, że to nieprawda jeszcze zanim skończyła mówić.

- Przecież byliście zaręczeni - odparł. - A poza tym znam Ryana.

Przez chwilę z trudem łapała oddech. Cieszyła się, że Jeff, odwrócony do okna, nie widzi jej w tej chwili. Boże, przecież już potrafiła to wszystko puścić w niepamięć, nie pozwolić, by wspomnienia panowały nad rzeczywistością.

- Po jaką cholere on wrócił? - Jeff uderzył pięścią w okno. - Czemu nie został w Ameryce Południowej czy gdziekolwiek indziej? Czemu nie zostawi nas w spokoju?!

Wybuch Jeffa przeraził Lindsay. On i Ryan byli kiedyś przyjaciółmi. Ale ten fakt, podobnie jak wiele innych, należał już do przeszłości.

- Nie wiem - szepnęła bardziej do siebie niż do Jeffa.

Wpatrywał się w ulicę tak, jakby zobaczył coś niezwykłego. Wiedziała jednak, że myśli o Ryanie i o owym upalnym sierpniowym tygodniu trzy lata temu, który nieodwracalnie zmienił ich życie.

Był wtedy na jakiejś konferencji w Toronto. Gdy wrócił, okazało się, że firmę będzie prowadził sam, bowiem Ryan najwyraźniej ją porzucił.

Dziś Ryan jest znów tutaj.

Lindsay wzdrygnęła się. Cokolwiek było powodem powrotu Ryana, na pewno nie była to ona. Nic już ich nie łączyło. Pozostało jedynie parę przykrych wspomnień.

- Jadę dziś wieczorem do Nowego Jorku.

- Nowego Jorku? - zdziwiła się Lindsay. - Po co?

- Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o *Kismet Architectural* - odparł Jeff. - Kim oni są i kto za nimi stoi.

Lindsay pokiwała głową.

- Kiedy wracasz?

- W poniedziałek, najpóźniej we wtorek. Zadzwoń do ciebie.

- W poniedziałek masz spotkać się z Antonem Borowcem, żeby omówić...

Jeff zniecierpliwiony machnął ręką.

- Ten remont u Borowca to małe piwo przy VanKleefie. Nie mam czasu na ...

- Do licha, odwołujesz już drugie spotkanie z tym człowiekiem. Może to i małe piwo, ale dzięki takim zamówieniom mamy jeszcze coś do roboty. Rekomendacje od zadowolonych klientów to coś więcej niż sam talent, pamiętaj, że niewiele trzeba, by odstraszyć chętnych.

- Kochanie, jeśli uda mi się odzyskać VanKleefa, nie będziemy mogli opędzić się od zamówień.

- A Borowiec? - spytała delikatnie.

- Załatwisz to za mnie? - uśmiechnął się łobuzersko.

- Ty i tak lepiej od niego samego wiesz, czego on naprawdę chce.

- Posłuchaj Jeff, ja... - wzięła głęboki oddech.

- No dobrze, zadzwonię do niego.

- Jesteś wspaniała. - Jednak po chwili uśmiech zniknął mu z twarzy. - Jeśli zjawi się McCrea, powiedz mu, żeby sobie poszedł w cholerę. Poradziliśmy sobie bez niego trzy lata temu, to i teraz damy sobie radę.

- I tak kiedyś będziesz musiał z nim porozmawiać - powiedziała to bardziej do siebie niż do Jeffa. J

- Byliście przecież przyjaciółmi, to się jednak liczy.

- Nic się nie liczy - powiedział i podszedł do popielniczki, by zgasić papierosa. - Jeśli chcesz uniknąć problemów, to nie zbliżaj się do niego. Ryan McCrea to chodzące kłopoty.

Trzasnął drzwiami i zniknął. Lindsay zamyślona odprowadziła go wzrokiem.

Ryan i Jeff - nierozłączny duet. Poznała Jeffa na ostatnim roku studiów. Rozmarzony młody architekt, partner błyskotliwego Ryana McCrea. Spotykała się z nim przez rok. Potem przedstawił ją Ryanowi.

Od tego momentu układy między nim a Ryanem zmieniły się nieodwracalnie. Zawsze współzawodniczyli ze sobą, ale teraz nabrało to zupełnie innego charakteru.

Kiedy rok później Lindsay dołączyła do firmy, panowie walczyli już na całego. Rywalizacja osiągnęła swój szczyt w dwa i pół roku po tym, jak Jeff napisał list do Ryana, do Ameryki Południowej, informując, że rozwiązuje ich spółkę.

Nie było żadnej odpowiedzi. Ryan milczał.

A teraz był z powrotem w Bostonie.

- Czy potrzebujesz mnie jeszcze? Jest już po piątej.

Ten cichy i spokojny głos przestraszył Lindsay. Podniosła głowę i zobaczyła swoją sekretarkę, Marg Pearson.

- Naprawdę jest już tak późno? - Spojrzała z niedowierzaniem na zegarek. - Nie powinnaś była na mnie czekać, Marg. Czy udało ci się skontaktować z Borowcem?

- Wraz z żoną oczekują cię około ósmej - powiedziała Marg, nie kryjąc swego niezadowolenia. - Lindsay, jest piątek wieczór, to czas na odrobinę szaleństwa, zabawę, a nie ślęczenie nad rysunkami w towarzystwie Borowca i jego małżonki. - Marg podniosła głos. - To projekt Jeffa, prawda?

- Jeff jest zajęty sprawą VanKleefa, a ja mu tylko

pomagam - odpowiedziała Lindsay, próbując załagodzić sprawę.

- Jesteś zbyt miękka w stosunku do niego. On cię wykorzystuje. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę! - nie dawała za wygraną Marg.

- Wiem, wiem. Pozdrów ode mnie Gorda. Życzę wam udanego weekendu.

- Aha, rozumiem, mam już sobie pójść - roześmiała się Marg. Ruszyła w stronę drzwi, jednak w ostatniej chwili stanęła i odwróciła się do Lindsay. - Słuchaj, on wrócił - powiedziała. - Ryan McCrea wrócił.

- Tak, wiem - odpowiedziała Lindsay, porządkując swe biurko.

Marg chciała rozwinąć temat, ale nie bardzo wiedziała jak. Bąknęła ciche „do widzenia” i zamknęła za sobą drzwi.

Lindsay długo jeszcze wpatrywała się w dokumenty Borowca, ale nie mogła się skoncentrować. Zamknęła teczkę i spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta.

Rozpoczęła beładną krzątanie po biurze, ścierała niewidoczne kurze, zbierała paproszki, co i tak nie miało większego sensu, bowiem następnego dnia miał się tu zjawić sztab sprzątaczek. Była podenerwowana, chodziła z kąta w kąt, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą począć. Nagle podeszła do okna. Stała tam przez dłuższą chwilę i wpatrywała w ciemność, jakby w niej szukała odpowiedzi na dręczące wątpliwości.

Zachowuję się jak idiotka, tłumaczyła sobie Lindsay. Narzuciła jasnoniebieski żakiet i przeglądając się raz jeszcze w oknie poprawiła bluzkę, włożyła malutki kapelusik, walcząc z niesfornym kosmykiem włosów, który wymykał się spod ronda.

Gdybyś miała dobrze poukładane w głowie, zrobi-

łabyś to, o czym mówiła Marg, czyli odwołała dzisiejsze spotkanie z Borowcem. Odnalazłabyś Jeffa, zanim wyjedzie i zaprosiła go gdzieś na drinka. Byłby to na pewno ciekawszy sposób spędzenia wieczoru, niż siedzenie w biurze nad projektami i kontraktami.

Uśmiechnęła się do siebie i spakowała dokumenty Borowca. Biedny Jeff. Od trzech lat nie było nic i nikogo ważniejszego od tych projektów, a Jeff nie był żadnym wyjątkiem.

Drgnęła na odgłos otwieranych drzwi.

- Jeszcze tutaj jesteś, Jeff? Myślałam, że już ...
- reszta zdania zamarła jej na ustach.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Lindsay czuła, jak krew odpływa jej do stóp. Miała wrażenie, że za chwilę zemdleje.

- Witaj, Lindsay - zabrzmiał dobrze znajomy głos. Mężczyzna w drzwiach obserwował ją uważnie.

- Witaj, Ryan - odparła. Była zaskoczona swoim spokojnym tonem.

Musiało to zdziwić także Ryana, bowiem zmarszczył brwi i przyglądał się jej z zainteresowaniem.

Lindsay wytrzymała jego spojrzenie, lecz czuła, że musi coś powiedzieć. Niezobowiązujące frazesy zazwyczaj potrafiła wypowiadać z łatwością, ale teraz, stojąc twarzą w twarz z człowiekiem, którego kiedyś kochała do szaleństwa, nie potrafiła wydusić z siebie słowa.

Jej milczenie najwyraźniej wprawiło Ryana w zakłopotanie.

- Co słyhać? - zapytał nieśmiało.

- Dziękuję, wszystko w porządku - odparła.

Zachowujemy się jak znajomi na przystanku autobusowym, pomyślała Lindsay. Za chwilę zapyta mnie o pogodę...

Nadal ubrany był w obcisłe dzinsy i kraciatą koszulę, lecz zamiast starych, wysłużonych butów włożył ręcznie szyte mokasyny, a do tego kamizelkę z identycznej skóry. Wygląda teraz nie jak doker, pomyślała, raczej jak facet z reklam męskich wód kolońskich. Do pełnego obrazu brakowało mu tylko ślicznej panienki u boku, a w tle jakiegoś zagranicznego samochodu.

Ryan również badawczo się jej przyglądał, wędrując wzrokiem od luźnych sztruksów aż po małe wesołe piórko w kapeluszu. To, co zobaczył, wyraźnie go zaintrygowało.

- Zmieniłaś się.

- To zasługa tych trzech ostatnich lat - odparowała Lindsay, lecz już po chwili żałowała brzmiącej w tych słowach goryczy. Była zdumiona, że tyle jej jeszcze w sobie nosi. Przełamując ten ton podeszła do niego z wyciągniętą ręką.

- Świetnie wyglądasz, Ryan.

Przyglądał się jej dłoni tak, jakby podsuwała mu jadowitego węża. Jednak po chwili uśmiechnął się i uścisnął ją.

- Sądziłem, że po trzech latach można oczekiwać innego powitania niż zwyczajny uścisk dłoni.

- Trzy lata to dużo czasu, Rynie - uśmiechając się, cofnęła rękę. - A dobrzy przyjaciele mają w zwyczaju podtrzymywać kontakty.

Czas wyrzył ślady na jego twarzy. Stała się wyrazistsza, bardziej męska. Brązowa od słońca i wiatru karnacja podkreślała błękit oczu. Biły z niego siła i dzikość, które sprawiały, że Lindsay poczuła się niepewnie. Kimkolwiek był dziś ten przystojny facet, na pewno to nie Ryan McCrea, którego kiedyś znała.

Podeszła do biurka.

- Kiedy wróciłeś do Stanów?

- Jakies trzy miesiące temu - odpowiedział przemierzając pokój. Przyglądał się fotografiom i rysunkom na ścianach, potem podszedł do stołu kreślarskiego zaintrygowany projektem. - Pracowałem w Montrealu i Nowym Jorku; do Bostonu przyjechałem parę dni temu.

- Na jak długo? - spytała, starając się, by zabrzmiało to obojętnie.

- Nie wiem - spojrzał na nią. - To zależy.

Był spokojny i sprawiał wrażenie człowieka kontrolującego bieg wydarzeń, jednak jakiś mały szczegół zakłócał ten porządek. Jakby znalazł się na obcej ziemi i nie miał pewności co do nastroju tubylców.

Lindsay złapała się na tym, że od dłuższego czasu wpatruje się w Ryana. On z kolei zastanawiał się, jakim go widzi i o czym myśli.

Odeszła od stołu i lekkim krokiem przemierzyła pokój.

- Cóż cię sprowadza do Bostonu po tylu latach?

- Do licha, musi unikać tych złośliwości. - Przyjemność czy obowiązki?

- Jedno i drugie - odpowiedział, nadal bacznie się jej przypatrując. Obojętność Lindsay nie dawała mu spokoju.

- Ty też się zmieniłeś. - Zaśmiała się cicho.

- Dawniej unikałeś łączenia tych dwóch rzeczy. To właśnie dlatego czułam się osaczona tymi nudnymi przyjęciami i koktajlami, podczas gdy ty i Jeff staliście gdzieś z boku, załatwiając przeróżne interesy.

- A co słyhać u Jeffa? - spytał, uśmiechając się pod nosem.

- Wspaniale - odparła, zastanawiając się, czy brzmiała w tym nutka sarkazmu. - Wyjechał do Nowego Jorku w sprawie zamówienia.

- Szkoda, miałem nadzieję się z nim spotkać.

Tym razem nie miała żadnych wątpliwości, jego ton był ironiczny.

- On również - odparła, zdziwiona łatwością, z jaką skłamała.

- Czyżby? - Ryan zmrużył oczy. Było w jego spojrzeniu coś, co ją niepokoiło. - A ty, Lindsay? Jesteś zadowolona, że mnie widzisz?

- Raczej zaskoczona.

Przyglądał się jej długo, tak jakby chciał porównać rzeczywistość z obrazem wcześniej przez siebie stworzonym. Uśmiechnął się do własnych myśli.

- Tak, masz prawo, trzy lata to długo.

- Bardzo długo. - Stwierdzenie faktu, pomyślała, czuła jednak, że nie pozostał nań obojętny. Zaklął cicho i gwałtownie odwrócił się w jej stronę.

- Lindsay, taka rozmowa do niczego nie prowadzi. Czy moglibyśmy skoczyć gdzieś na drinka?

- Nie. - Przez moment żałowała tej pochopnej decyzji ale nie wypadało jej już zmienić zdania.

- Robi się późno, a poza tym jestem umówiona o ósmej.

- Czy to ktoś ważny? - spytał.

- Dosyć - odparła.

- Mężczyzna? - dociekał zaniepokojony. Męska ambicja nie pozwalała mu pogodzić się z taką ewentualnością.

- Tak. - Uśmiechnęła się tajemniczo. Czuła, że ów niepokój przeradza się w złość, a to dawało jej pewną satysfakcję. - Czyżbyś był zazdrosny?

- Nie przekomarzaj się ze mną - odparł cicho, spoglądając na nią smutnym wzrokiem. - Masz kogoś?

Napięcie, jakie wprowadził Ryan, zdawało się rosnać z minuty na minutę; wypełniało każdy zakątek pomieszczenia, boleśnie uświadamiając swą obecność. Poderwała się z krzesła, chwyciła torebkę i neseser.

- Przepraszam cię bardzo - odparła sucho, poprawiając torebkę pod ręką. - Może umówimy się na drinka w przyszłym tygodniu, gdy będę miała trochę więcej czasu. - Następne kłamstewko, pomyślała, ale czuła zbliżające się zagrożenie, więc postanowiła uciec od Ryana jak najdalej.

- Strasznie za tobą tęskniłem, Lindsay.

Wychwyciła jakieś dziwne drżenie w jego głosie. Podniósłszy głowę, stwierdziła, iż dzieląca ich odległość nie jest bezpieczna. Nawet teraz, po latach, nie pozostawała obojętna na jego męski urok. Stał tuż obok, ten sam pociągający, przystojny mężczyzna, który trzy lata temu pozwolił jej poznać szaloną potęgę rozkoszy.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu, któremu nigdy nie potrafiła się oprzeć.

- Wykonałem wspaniałe wejście, prawda? Teraz ty powinnaś powiedzieć, jak bardzo tęskniłaś za mną i jak bardzo cieszysz się z mego powrotu.

- Wspaniale to sobie obmyśliłeś - starała się zachować obojętność. - Ale ty zawsze szedłeś na całego, prawda?

Ryan poczerwieniał ze złości. Była dumna, że tak dobrze udało się jej zapanować nad sytuacją. Obserwowała go, oczekując dalszych reakcji.

- Przyglądasz się, jakbyś zobaczyła mnie po raz pierwszy w życiu.

- Bo takie mam wrażenie. Zmieniłeś się. Jak słusznie zauważyłeś, trzy lata to długo.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć. - Ich oczy spotkały się. - Nie było dnia, żebym o tobie nie myślał, nie było nocy, żebym nie szukał cię w pobliżu....

- Doprawdy? - zmarszczyła brwi i stanęła po drugiej stronie dzielącego ich stołu. - Cóż, powiadają, że nie ma zbrodni bez kary.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Do licha, Lindsay! - Ryan odwrócił się i podszedł do okna. Oparty o framugę nisko zwiesił głowę.

Przyglądała mu się uważnie, trochę onieśmielona jego reakcją. Zachowujesz się jak idiotka, szepnęła do siebie. Tak, rzeczywiście, rzucił cię i gdyby dać mu szansę, zrobiłby to ponownie. Ale przecież kiedyś go kochałaś. Możliwe, że i on na swój sposób kochał ciebie.

Po długiej chwili milczenia rzuciła torebkę na stół i westchnęła.

- Napijesz się czegoś? - spytała.

Odwrócił się i spojrzał na nią, nie kryjąc zaskoczenia. Sprawilo jej to dziwną przyjemność. Skinęła więc głową w stronę niskiego kredensiku.

- Berek jest tam.

Podszedł do szafki i studiując jej zawartość, odparł:

- Widzę, że i gust ci się zmienił. Masz albo drogie zachcianki, albo bardzo poważnych klientów.

- Jedno i drugie. Siadaj - powiedziała, sadowiąc się w białym skórzanym fotelu. Ryan nie przyjął zaproszenia.

- Wyrabiasz sobie niezłą renome, moja pani - powiedział cicho, wpatrując się w dyplom Design Excellence. - Wieść niesię, że należysz do wąskiego grona najbardziej obiecujących talentów. - Odwrócił

się w jej stronę i oparł o ścianę. - To kawał dobrej roboty. Jestem z ciebie dumny, Lin.

Zaśmiała się cicho.

- Miałam dobrego nauczyciela, Ryanie.

Rozpromienił się jak mały chłopiec.

- Gdybym doprawdy zasłużył na takie pochwały, to najchętniej nie robiłbym już nic więcej poza kolekcjonowaniem ich. Ale ja jedynie wskazałem ci drogę - reszta jest twoją zasługą.

Sprawił jej ogromną przyjemność, chociaż nie bardzo chciała się do tego przyznać.

- Ty też nie najgorzej sobie radzisz - powiedziała.

- Tak, to prawda - zamilkł na dłuższą chwilę, bawiąc się kieliszkiem brandy. - Ale musiałem zapłacić wysoką cenę, o wiele wyższą, niż się spodziewałem.

W jego głosie brzmiała gorzycz, której do tej pory w nim nie słyszała.

- Wszystko ma swoją cenę - odparła cicho. - Sam tłumaczyłeś mi, że tajemnica sukcesu tkwi w dążeniu do celu, bez względu na koszty.

Zaśmiał się smutno i pociągnął spory łyk brandy.

- Zapomniałem tylko dodać, że warto wiedzieć, za czym człowiek goni.

Lindsay spojrzała na niego znacząco.

- A ty, Ryan, czy znalazłeś już to, czego szukałeś? Zaskoczyła go, ale nie spuścił wzroku.

- Może. W każdym razie zrozumiałem, że nie o to mi chodziło. To, czego szukałem po całym świecie, było przez cały czas tu na miejscu.

- Sława, chwała i uwielbienie - przekomarzała się Lindsay. Nie podobał się jej styl tej rozmowy. - Ryanie McCrea, jesteś żywą legendą. Czegóż więcej można chcieć od życia?

- Oddałbym wszystko, by móc cofnąć wskazówki zegara o trzy lata - odparł stanowczo. - Tyle dokładnie czasu zmarnowałem, zanim uświadomiłem sobie, że wyjazd do Rio bez ciebie był największą pomyłką mego życia.

- Nie jesteśmy nieomylni - odparła wymijająco, próbując skierować rozmowę na inny temat.

- Bierzesz lekcje konwersacji? - burknął Ryan.

- Przez całe popołudnie aplikujesz mi wymyślne frazesy.

- To taka okolicznościowa wymiana zdań. - Odpowiedziała zimno. Tym razem Ryan przeholował.

- Wykładają to na pierwszym roku razem z inżynierią i rysunkiem technicznym.

- Posłuchaj. Nie przyszedłem żonglować słowami. Chciałem coś wytłumaczyć, gdybyś dała mi szansę. Chciałem przeprosić za

- Nie ma za co przepraszać - powiedziała sucho.

- Trzy lata temu podjąłeś decyzję, którą uważałeś za słuszną. Nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień.

- Pragnąłem cię, Lindsay.

- Ale nie na tyle, żeby się ze mną ożenić - odparła spokojnie.

- Lin, ja... - Ryan sposepniał.

- Nie obawiaj się - zapewniła go z uśmiechem.

- Nie będę odgrywać roli zdradzonej kochanki. To wszystko wydarzyło się dawno temu, kiedy byłam jeszcze na tyle młoda i naiwna, by wierzyć, że jeśli mężczyzna idzie z kobietą do łóżka, to znaczy, że ją kocha. Wydoroślałam od tego czasu.

- Naprawdę tak myślałaś? - spytał zduszonym głosem. - Naprawdę sądziłaś, że cię nie kocham?

Zmieszana jego słowami spuściła wzrok i nieporadnie zaczęła wygładzać spodnie.

- Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie miłość, Ryanie. Konfrontacja marzeń z brutalną rzeczywistością pozwala wyżyć się iluzji.

- Nie rozumiem - powiedział, przypatrując się jej uważnie.

Uśmiechnęła się, zdziwiona, że tak łatwo może już o tym mówić.

- Postanowiłam, że pojedę z tobą, ale kiedy wróciłam do Bostonu, ciebie już tam nie było.

Ryan zaniemówił, pochylił się i ukrył twarz w dłoniach.

- Boże, jak ty musiałaś mnie nienawidzić - powiedział cicho po chwili.

- Tak, dopóki nie przestałam się nad sobą użalać. Potem zrozumiałam, że dałeś mi życiową szansę.

Spojrzał na nią zdziwiony.

Lindsay uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Z dniem, w którym mnie zostawiłeś, zaczęło się dla mnie zupełnie nowe życie. Nigdy przedtem nie musiałam poddawać próbie swego życia osobistego ani zawodowego. Potem ty oszczędłeś i wszystko uległo zmianie.

Ryan przypatrywał się jej uważnie z miną człowieka wyłączanego z gry, którą sam przez całe życie prowadził.

- Ty oszczędłeś, a moje dotychczas spokojne i bez troskie życie runęło. Razem z Jeffem walczyliśmy, by utrzymać firmę i właśnie wtedy odkryłam w sobie możliwości, o jakich nigdy nie marzyłam. Musiałam je odkryć, bo groziło nam bankructwo. Potem coraz wyżej stawiałam sobie poprzeczkę i okazało się, że jestem cholernie dobrym architektem, Ryanie. Gdybyś pozostał, byłabym jedną z wielu.

- Zawsze byłaś zdolna - poprawił ją - potrzebo-
wałaś jedynie czasu.

- Może. A może po prostu musiałam sobie udowod-
nić, że nie jesteś mi potrzebny, że sama potrafię
dokonać czegoś ważnego, co zresztą mi się udało.

- Czy jesteś z tym szczęśliwa? - spytał. Ich spojrzenia
spotkały się.

- Tak - uśmiechnęła się. - Bardzo, Ryanie. I nie
chcę niczego zmieniać - ostrzegła go delikatnie.

Opadł na krzesło, świadomy porażki. Oparł ręce
o kolana i długo wpatrywał się w zawartość kieliszka.

- Przez ostatnie trzy miesiące zastanawiałem się,
co ci powiedzieć - wyznał cicho. - Trudno jest
cokolwiek powiedzieć, kiedy popełniło się w życiu
tyle głupstw.

- Nie musisz mnie przepraszać, Ryanie. Takie
zamówienie, jak to w Rio, nie zdarza się często.
Gdybyś z niego zrezygnował, zacząłbyś mnie niena-
widzić, a ja nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

Spojrzał na nią zawstydzony.

- Wolałbym, żebyś nie była taka taktowna. Jest mi
już wystarczająco trudno, a ty traktujesz mnie jak
kogoś obcego.

- Za nic cię nie winię, Ryanie. Po prostu lepiej by
się stało, gdybyśmy się w ogóle nie spotkali te trzy
lata temu. Mieliliśmy swoje marzenia i swoje potrzeby.
Decyzje, które podjęliśmy wtedy, mogą nam dziś
wydawać się pozbawione sensu, ale podejmując je,
nie popełniliśmy żadnego błędu.

- A teraz Lin - spojrzał na nią - możemy jeszcze
raz spróbować...

- Kiedy tak mówisz, wydaje się to proste - po-
wiedziała uśmiechając się do niego. - Wiele się

wydarzyło przez te trzy lata, Ryanie. Nie jestem już tą samą kobietą, którą znałeś. Cieszę się moim życiem, pracą. Nie wiem, czy gdzieś znalazłoby się dla ciebie miejsce. Przyznam szczerze, że nawet nie chcę próbować.

Ryan wbił wzrok w brunatną brandy, jednak nie na tyle szybko by ukryć, że sprawiła mu ból. Podeszła więc do niego, kucnęła przy krześle, odstawiła szklanke i wzięła go za rękę.

- Ryanie, kochałam cię wtedy tak bardzo, że zapomniałam o bożym świecie. Lexington był moim pierwszym poważnym zamówieniem, a ja chciałam je odrzucić, byle być z tobą. Żałowałam tego tak bardzo, że któregoś dnia znienawidziłabym cię - tłumaczyła spokojnie. - Potrzebowałam czasu, żeby dorosnąć i ty, Ryanie, mi go dałeś. Za to zawsze będę ci wdzięczna.

Podniósł jej dłoń do ust. Wstrzymała na chwilę oddech, podczas gdy on, patrząc jej prosto w oczy, muskał wargami każdy palec po kolei.

- Czy w tym nowym życiu znajdzie się trochę miejsca dla mnie, Lin?

Ten uwodzicielski gest wywołał u Lindsay dobrze znaną reakcję. Zabrała więc szybko rękę i wstała.

- W zawodowym, tak. Jeśli zamierzasz pracować w Bostonie, trudno będzie uniknąć spotkania.

- Do licha, Lindsay, wiesz, że nie o to mi chodzi - poderwał się z krzesła. - Nie chcę, żebyś posyłała mi miłe spojrzenia z drugiego końca sali zebrań, czy też wymieniała ze mną zdawkowe zdania na przyjęciu - spojrzał na nią, nie kryjąc pożądania. - Chcę cię przytulić naga, kuszącą namiętym szeptem, tak, jak to kiedyś robiłaś. Chcę czuć, jak gryziesz moje ramię, gdy ja....

- Ryanie! - krzyknęła blednąc. - To już minęło.
- Nie wierzę! Nic nie minęło - nie poddawał się.
-Przypomnij sobie naszą ostatnią noc, Lindsay. No przypomnij!

- Sądzę, że powinieneś już sobie pójść - jęknęła.
- Nie skończyłem jeszcze. - Stał z rękoma opartymi na biodrach.

- Nie mamy sobie już nic do powiedzenia. Chcę, żebyś wyszedł.

- A Webster? - przerwał na chwilę. Lindsay wpatrywała się w niego zaskoczona, nie mogąc nadażyć za tokiem jego myśli. - Jaką pozycję zajmuje w nowym życiu Lindsay Forrest?

- Jesteśmy współnikami - odparła ze złością, widząc, w jakim kierunku zmierza ich rozmowa.

Ryan zaśmiał się nienaturalnie. Ten śmiech sprawił, że poczuła nieprzyjemne mrowienie na plecach.

- Partnerzy w mojej firmie? - spytał, siląc się na uprzejmość.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko tyle, że *McCrea and Associates* było całkiem dobrą firmą i z tego, co widzę, nadal nią jest. Tylko że teraz nazywa się *Webster i Forrest*. Nowa nazwa dla starych klientów.

Lindsay zrozumiała wreszcie.

- Czekaliśmy na ciebie - powiedziała cicho. - Czekaliśmy na jakieś słowo, znak, że wracasz. Jeff i ja walczyliśmy o utrzymanie tej firmy. Wreszcie zdecydowaliśmy, że już czas pracować dla siebie, a nie dla nieobecnego właściciela, od którego nie mieliśmy znaku życia od ponad roku.

- To był pomysł Jeffa? - Ryan patrzył podejrzliwie.

Zapadła głucha cisza. Lindsay udało się wytrzymać to zimne, badawcze spojrzenie.

- To była wspólna decyzja - odparła, zastanawiając się, dlaczego skłamała.

- Potrzebował twojego nazwiska w dokumentach. Inaczej nie wpuszczono by go do żadnego banku - odparł szyderczo.

- Słuchaj - starała się zachować spokój. - Nie wiem, co między wami zaszło, ale nie mam najmniejszego zamiaru uczestniczyć w jakiejś szczeniackiej rozgrywce, którą prowadzisz z Jeffem Websterem.

- Zawsze tak było - przypomniał jej trochę zniecierpliwiony. - Jeff nigdy mi nie wybaczył, że mu cię odbiłem.

Lindsay odwróciła się raptownie i wolno ruszyła w stronę biurka, kontrolując każdy ruch.

- Nigdy nie byłam niczyją własnością. Ani Jeffa, by mógłby mnie oddać - mówiła spokojnie, rzucając mu zimne spojrzenie - ani twoją, byś mnie odbierał.

- Należałaś do mnie, Lindsay. - Jego twarz rozpromieniła się. Oczy powoli, niczym ręka zręcznego kochanka, pieściły jej ciało.

- Nie - wyszeptała, nie bardzo wiedząc, czy w tej chwili przeczy jego słowom, czy opiera temu, co zaczynało się między nimi dziać.

- I nadal jesteś moja - powiedział cicho, idąc ku niej.

- Nie - szepnęła raz jeszcze. Odwróciła się i podeszła do stojącego obok biurka fikusa, by oberwać uschnięte listki.

- Chcę, żebyś wróciła, Lin - usłyszała jego głos już całkiem blisko.

Stanowczo za blisko. Tylko silnej woli zawdzięczała

nieruchomą pozycję ciała. To był olbrzymi wysiłek, ale wiedziała, że w tej chwili nie wolno się jej zachować inaczej. Musiała coś udowodnić nie tylko Ryanowi, ale i sobie.

- A więc to tak - syknęła. - Najpierw porzucasz firmę i mnie, a potem zjawiasz się nie wiadomo skąd i chcesz mieć wszystko z powrotem?

- Chcę ciebie - odparł. Był już tak blisko, że czuła jego oddech. - Tylko ciebie. Zawsze tak było - szeptał. Gdy ją objął, drgnęła, mimo iż spodziewała się tego. - Boże, Lin, tak bardzo za tobą tęskniłem...

Wstrzymała oddech. Usta Ryana, muskające jej szyję, kończyły wędrówkę tuż przy nasadzie włosów wilgotnymi pocałunkami, które doprowadzały ją do szaleństwa.

Lindsay zacisnęła powieki i ze wszystkich sił starała się nie ulegać jego pieszczotom. Między nimi wszystko skończone, tłumaczyła sobie. To tylko czysto fizyczna reakcja, przecież nie da się zaprzeczyć, że jest dobry w tym, co robi...

- Pamiętasz, jak to było? - szeptał, nie przerywając pocałunków. - Jak budziłem cię rano, Lin? Pamiętasz nasze wspólne kąpiele? A ulewę, gdy wracaliśmy z Cape Cod? Nie mogliśmy już dłużej wytrzymać, więc zjechałem na pobocze i kochaliśmy się w samochodzie jak para nastolatków?

- Nie - zaprotestowała cicho, gdy delikatnie chwycił zębami jej skórę. - Ryan, proszę... - szeptała coraz ciszej, walcząc ze sobą, by go nie pocałować.

- To było coś cudownego, Lin. I to wszystko może powrócić.

- Nie - odparła zdecydowanie, próbując uwolnić się z jego objęcia. - Puść mnie.

- Do jasnej cholery, Lindsay - puścił ją raptownie. Dlaczego mnie odpychasz? Mamy w tym już trochę wprawy, spędziliśmy mnóstwo czasu kochając się i znam cię na pamięć. Wiem również, że przed chwilą reagowałaś na moje pieścizoty.

- O Boże, Ryan. Przecież nie jestem z kamienia.

- Westchnęła głęboko i odsunęła się od niego. Czuła, że cała drży. - Kobieta musiałaby być chora, żeby nie reagować na cię, szczególnie jeśli się dobrze do tego zabierasz. Ale świadomość twojej fizycznej atrakcyjności, która mnie podnieca, to za mało, by rozpoczynać coś, co nie istnieje od trzech lat.

- Ale kochałaś mnie przecież - nie ustępowałam.

- Kochałam - zaznaczyła. - Lecz to, co między nami było, dawno już minęło.

- Kobieta nie rezygnuje łatwo z takiej miłości, jak nasza, Lindsay.

- Na pewno nie z dnia na dzień - odparła.

- Rzeczywiście, muszę przyznać, że trochę to trwało, ale kiedy wreszcie udało mi się otrząsnąć, wymazałam cię z pamięci na zawsze. To jak wietrzna ospa, dokucza, kiedy ją masz, ale gdy minie, jesteś już uodporniony do końca życia.

Zmartwiła się, że to porównanie nie wydało mu się równie dowcipne, jak jej. Nigdy dotąd nie próbowała z niego żartować, a teraz sprawiało jej to niemałą przyjemność. Może nawet za dużą.

- Lindsay, popełniłem błąd trzy lata temu i przez pierwszy rok nie zdawałem sobie z tego sprawy. Byłem zresztą mocno zaangażowany w swą pracę... a poza tym chciałem jakoś uporządkować swoje, a raczej nasze, sprawy. Teraz proszę tylko o jeszcze jedną szansę, Lin. Szansę dla nas obojga - patrzył jej

prosto w oczy. - Nie dziwię się, że jesteś wściekła. Zostawienie cię było najgłupszą rzeczą, jaką zrobiłem, ale do diabła, Lindsay, nie dręcz mnie tak. Zaczynj krzyczeć, rzuć czymś we mnie, przeklinaj. Ale potem wróć do mnie, wróć tam, gdzie jest twoje miejsce - spojrzał na nią z pożądaniem. - Tym razem wróciłem na dobre, Lin. Chcę, żeby wszystko było jak dawniej.

Lindsay przyglądała mu się uważnie. Potem, ni stąd, ni zowąd, nie mogąc się powstrzymać, parsknęła śmiechem. Patrzył na nią złowrogo, a ona rozbawiona była do łez.

- Przepraszam cię, Ryane - próbowała uspokoić się choć na chwilę, przygryzając wargi. - Ale to takie melodramatyczne! Wracasz nie wiadomo skąd, sądząc, że wystarczy zapukać do mych drzwi, bym padła w twe objęcia. Ty biedny, słodki idioto. - Znów ogarnęła ją fala wesołości. - Zawsze byłeś zarozumiałym dzikusiem! Kochając się z tobą, miałam wrażenie, że za chwilę zerwiesz się z dzikim wrzaskiem, bijąc pięścią w pierś i przeskakując z drzewa na drzewo znikniesz gdzieś w dżungli. - Widząc wyraz twarzy Ryana, uspokoiła się trochę, czując, że zaczyna igrać z losem.

Była dumna, że tak łatwo udało się jej go pokonać. Marzyła o tej chwili od trzech lat, a teraz, kiedy już nadeszła, wszelkie obawy i strach zniknęły. Nadal uśmiechnięta, podniosła torebkę, wsunęła ją pod ramię i powiedziała:

- Jestem pewna, że trafisz do wyjścia, Ryane.

- Nie poddam się tak łatwo - warknął - i zrobię wszystko, by cię odzyskać!

Brzmiało to raczej jak obietnica niż groźba, toteż sprawiło jej przyjemność.

- Tracisz czas, Ryane. Próbujesz reanimować

związek, w którym po trzech latach jest akurat tyle życia, co w przydrożnym kamieniu. Nawet tobie nie uda się taki cud.

- Nie masz pojęcia, do czego jestem zdolny. - Stał przy oknie, a jego oczy błyszczały w mroku jak ślepią czujnego, czającego się do skoku lwa.

Nagle Lindsay ogarnęły wątpliwości. Tamten Ryan McCrea byłby jednie lekko poruszony przebiegiem wypadków, gotowy pójść na ugodę. Co najwyżej pokiwałby głową i wyszedł. Za dzień lub dwa wróciłby z pokojową propozycją typu szampan, róże i bilety na balet lub do opery. Tak zachowałby się trzy lata temu.

Ale to już nie był ten sam Ryan.

Odwróciła się i sięgnęła po aktówkę.

- Jak już wspomniałam, tracisz czas, ale ty nigdy nie słuchałeś dobrych rad, nawet moich.

Widziała już w jego oczach zniecierpliwienie, niewiele brakowało, by się uśmiechnęła. Był przyzwyczajony do tego, że wszystko zawsze układało się po jego myśli w pracy, i w życiu osobistym. To on ustalał zasady i reguły, to on rządził. Trzy lata temu akceptowała ten fakt bez żadnych wątpliwości. Jednak dzisiaj Lindsay Forrest jest panią swego losu.

Dlatego teraz mogła spokojnie patrzeć mu w oczy. Wiedziała, że nie czuł się zżęcznie w tej sytuacji. Spodziewała się więc następnej sprzeczki, on natomiast pokiwał jedynie głową i ruszył do drzwi.

- Zawsze byłaś najbardziej upartą kobietą jaką znałem. Chyba dobrze się stało, że trzy lata temu nasze losy tak właśnie się ułożyły.

Szła za nim w bezpiecznej odległości, uśmiechając się mimo woli.

- Pochwalam twój pogląd, Ryan. Zawsze byłeś uparty jak osioł.

Otworzył drzwi i odwróciwszy się, spojrział na nią uważnie.

- Ciekawe, które z nas podda się pierwsze - powiedział łagodnie. W jego zmrużonych oczach dostrzegła coś, co budziło niepokój.

- Ryane, prowadząc tę dziecinną grę tylko się ośmieszamy. Jeśli zamierzasz pozostać w Bostonie, nasze spotkania są nieuniknione. Bądźmy więc rozsądni.

- Obawiam się, kochanie, że nie będzie to takie proste - odparł uśmiechając ciepło.

- Nie rozumiem - odparła bez przekonania.

- Miałem w Rio całkiem dobrą robotę, Lindsay. A jednak wróciłem do Bostonu z dwóch powodów.

- Ich spojrzenia spotkały się. Z jego oczu wyczytała determinację. Poczowała dreszcze. Przez moment miała wrażenie, że pokój wypełnił się lodowatym chłodem.

- Z jakich powodów? - spytała, dokładnie znając odpowiedź. Chciała jednak usłyszeć te słowa.

- Przyjechałem do Jeffa Webstera - odparł cicho - i mojej kobiety.

Wyszedł, bardzo delikatnie zamykając drzwi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lindsay jeszcze przez długą chwilę wpatrywała się w zamknięte drzwi, nie bardzo pewna, czy pozwoli zapanować nad sobą złości czy nastrojowi rozbawienia. W sumie jednak zwyciężyła ochota na śmiech. Lecz nawet on nie pomógł opanować drżenia nóg.

Mój Boże, tym razem Ryan wtargnął z powrotem w jej życie jak bohater kiepskich westernów, który poprzysiągł zemstę wszystkim winnym wyrządzonych mu krzywd.

Problem jednak polegał na tym, że sam był sobie winien. Nie miał przecież na karku czujnej bandy, grożącej mu stryczkiem, jeśli nie opuści Bostonu. Nikt nie zmuszał go do pracy w Rio ani w żadnym innym kraju, do którego się udawał.

Uśmiechnęła się. Biedny Ryan! Ze sławą niepokonanego zdobywcy przemierzał przez trzy długie lata odległe ziemie. Był uwielbiany i czczony w Anglii, Niemczech, Arabii Saudyjskiej, Hongkongu, Australii, a wraz ze wzrostem prestiżu i powagi zamówień rosła jego legenda. I oto dziś wraca triumfujący jak rycerz króla Artura z wyprawy po świętego Graala, by stanąć u granic obcego już królestwa, gdzie pani jego serca podaży sobie tylko znaną drogą.

Był pępkiem świata, a teraz, kiedy wrócił, odkrył, że ona jest szczęśliwa i już zupełnie go nie potrzebuje.

Dla takiego mężczyzny jak Ryan to cios i wyzwanie.

Poczuła lekki dreszczyk. Wzdrygnęła się, chcąc wymazać z pamięci spojrzenie wychodzącego Ryana. Zdradzało coś więcej niż złość, niecierpliwość czy zaskoczenie. Coś, czego do tej pory nie znała. Smutek? Żal? Zadumę? Może rozpaczliwą mieszankę tego wszystkiego?

A może to tylko złudzenie?

Ryan McCrea nigdy niczego nie żałował. Zawsze miał wszystko z góry zaplanowane. Dążył do celu z precyzją stratega. Podejmował decyzje szybko, lecz rozważnie. Nigdy nie oglądał się za siebie.

Ona była jednym z jego celów. Do dziś pamięta ich pierwsze spotkanie na przyjęciu z okazji przyznania firmie *McCrea and Associates* którejś z honorowych społecznych funkcji. Rozglądała się po sali, szukając Jeffa i w pewnym momencie natknęła się na pełne pożądania spojrzenie Ryana.

Poczuła się sparaliżowana tym spojrzeniem. Docierał do niej tylko pogłos słów Jeffa, przedstawiającego ją Ryanowi. Miała wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod stóp, gdy jego silne palce zacisnęły się dookoła jej dłoni. W tym właśnie momencie oboje wyczuli pokrewieństwo ciał i zapowiedź pokrewieństwa dusz. Dziwna intuicja, której nigdy nie próbowała analizować ani kwestionować.

Uśmiechnęła się. Praktycznie to właśnie z Ryanem spędziła resztę wieczoru, podczas gdy Jeff oddalił się w poszukiwaniu nowych klientów. Była zaskoczona, gdy pod koniec przyjęcia podprowadził ją do Jeffa, nie prosząc nawet o numer telefonu. Spodziewała się jednak, że już wkrótce znów nastąpi spotkanie. I rzeczywiście, jak się potem okazało, widywała Ryana o wiele częściej niż Jeffa. Każda konferencja, wykład,

spotkanie towarzyskie w środowisku architektów, w których uczestniczyła, coraz bardziej zbliżało ich do siebie. To właśnie podczas jednego z nich Ryan zaproponował jej pracę w *McCrea and Associates*.

Wielu architektów z poważnym dorobkiem gotowych było sprzedać duszę diabłu za możliwość pracy z Ryanem. Toteż dla niej, świeżo upieczonej absolwentki wydziału architektury, mającej przed sobą jeszcze trzyletnią praktykę poprzedzającą egzamin dyplomowy, stanowiło to prawdziwie wielką szansę.

Następne cztery lata były jeszcze bardziej podniecające. Pod wymagającym kierownictwem Ryana odkrywała w sobie talent i możliwości, o których nigdy nie marzyła. Uniwersytet pomagał rozwijać umiejętności techniczne, ale to Ryanowi zawdzięczała kształtowanie zdolności artystycznych. To właśnie on odkrył i pielęgnował jej chęć tworzenia, którą tak dobrze rozumiał i podzielał.

Nie byłaby w stanie powiedzieć, kiedy układ służbowy przekształcił się w bardziej intymny. Nie stało się przecież z dnia na dzień. Zależność szef-pracownik przeradzała się stopniowo w przyjań, a przyjań w miłość. Nie zauważyli nawet, kiedy to się stało.

Spędzali ze sobą długie wieczory, siedząc obok siebie i projektując wspólnie coś, co każde z nich mogło wykonać osobno. Stało się zwyczajem, że po tak wyętej i ciężkiej pracy Ryan zabierał ją na obiad. Delektując się winem i wykwintnym jedzeniem dyskutowali o wszystkim, począwszy od architektury Średniowiecza, a na muzyce rockowej skończywszy. Następnie odwoził ją do domu, ona zapraszała go na filiżankę kawy i tak, śmiejąc się i dyskutując, spędzali pół nocy.

Potem już coraz częściej praca odkładana była na bok. Oni natomiast, trzymając się za ręce, spacerowali po małych uliczkach Bostonu, by odkrywać nieznane sklepiki z antykami i starymi książkami. Dalszą część wieczoru spędzali u niej lub w domku Ryana. Czasami wybierali się razem na inspekcję budowy, co zazwyczaj kończyło się długim spacerem po plaży, gdzie zapominali o całym świecie, chłonąc czar tych chwil.

Trudno byłoby wskazać moment, w którym zdała sobie sprawę z faktu, że jest w nim zakochana. Jednak dokładnie pamięta pierwszy wieczór, gdy wziął ją w ramiona. Byli u niego, w ekskluzywnym Beacon Hill, w domku, który wyremontował rok wcześniej. Pomagała mu w wykańczaniu projektów. Przez cały wieczór zmagali się z jednym z nich, rozpatrywali różne warianty, jedne odrzucając, do innych wracając ponownie. Czas przestał się liczyć.

Wreszcie udało się wszystko dopracować. Dumna z siebie, lecz wykończona, Lindsay odrzuciła kalki na bok i udała się do kuchni po jeszcze jeden dzbanek kawy. Gdy po paru minutach wróciła, Ryan spał jak dziecko, wyciągnięty na małej kanapce. Znalazła w sypialni koc, przykryła go i zaczęła zbierać się do wyjścia. On jednak otworzył oczy i uśmiechając się sennie, przyciągnął ją do siebie. Lindsay weszła pod koc i wtuliła się w jego ramiona z taką naturalnością, jakby robiła to od lat.

- Jest już późno - szepnęła. Było tu jednak ciepło i dobrze, więc kiedy poczuła jego pocałunek na szyi, nie protestowała. - Powinnam jechać do domu...

Całując ją delikatnie, szepnął: - Zostań jeszcze na chwilę. - Język wędrował teraz po wszystkich zakąt-

kach jej ucha. - Czy wiesz, że twoje perfumy doprowadzają mnie do szaleństwa?

- Ja... - Lindsay wstrzymała na chwilę oddech.

- Proszę nic nie mówić, panno Forrest - mruzczał, przyciągając ją delikatnie tak, by spotkały się ich usta. - Przez ostatnie sześć miesięcy nie byłem w stanie myśleć o niczym innym, tylko o całowaniu ciebie, więc teraz zamierzam robić to bardzo dokładnie.

Trzeba przyznać, że dotrzymał słowa. Jego usta spoczęły na jej ustach, język delikatnie rozchyłał wargi, sprawnie torując sobie drogę ku ciepłemu wnętrzu. Lindsay poczuła dreszcz podniecenia i całkowicie poddała się jego pieścizotom. Wiedziała, że tak być musi.

Nie kochali się tej nocy. Spędzili czas na poznawaniu swych ciał, na delikatnych, wymyślnych pieścizotach, aż wreszcie, gdy nadszedł świt, zasnęli.

Obudzili się objęci i trochę speszeni jasnym światłem poranka. Ryan wybrnął z tej dziwnej sytuacji z właściwym sobie urokiem. Jechali do pracy świadomi tego, iż ich układ zmienił się nieodwracalnie.

Próbowała jeszcze z tym walczyć. Usiłowała utrzymać służbowy dystans, nie mogła pogodzić się z faktem, że jest zakochana w swoim szefie. Przez następne trzy tygodnie wmawiała sobie, że to, co czuje do Ryana, to tylko ciężki przypadek zauroczenia.

Obydwoje stali się ofiarami tej gry. Biedny Ryan zastanawiał się, co było powodem jej nagłego chłodu, podczas gdy ona rozważała, czy może pracować dla mężczyzny, którego kocha.

Wkrótce jednak zrozumiała, że już za późno na wątpliwości. Gdy przyszła do niego naga, rozpalona i niecierpliwa była, już zupełnie pewna swego wyboru.

Cape Cod to był pomysł Ryana. Wynajął domek na plaży, by przez dziesięć dni z dala od biura, w ciszy i spokoju, mogła przygotowywać wstępny kosztorys zamówienia Lexingtona.

Kiedy wiozł ją tam wieczorem, w powietrzu czuło się nadciągającą burzę. Zdażyli wypakować rzeczy z samochodu, wejść pospiesznie do środka, gdy cały horyzont pokryła ciemna, szara mgła. Ryan rozpałił ogień w kominku, przechwalając się swoimi umiejętnościami Robinsona Cruoe. Za chwilę słychać było trzask palących się szczap, które promieniowały ciepłem na cały pokój.

Tej nocy nie było już mowy o nieśmiałości. Wydawało się to tak naturalne, że jest w jego ramionach, że całuje się z nim, że jej chętne ciało reaguje na tę bliskość.

Potem usłyszała, jak na wpół przytomny Ryan szeptał:

- O Boże, Lindsay, ja tak dłużej nie mogę! Chcę się z tobą kochać, chcę się natychmiast z tobą kochać.

Lindsay wtuliła się mocno w niego. Po chwili zorientowała się, że jest naga. Stanik, bluzka i spodnie rzucone były gdzieś w nieładzie, razem z koszulą Ryana. On sam miał rozpięte spodnie, więc gdy przyłgnał do niej, poczuła dokładnie dowód jego podniecenia.

- Ryanie... - zdołała jęknąć między jednym pocałunkiem a drugim. Wsunęła nogę między jego nogi, unosząc się tak, by dotknąć jego ciała.

- O Boże, Lindsay! - Drgnął, zaciskając uda.
- Poproś mnie, bym został, chcę zostać z tobą tej nocy.

Rozpalona Lindsay próbowała zebrać myśli, chciała oddzielić marzenia od rzeczywistości. Była nie za-

spokojona, każdy centymetr jej ciała oczekiwał pieśczoć. Wiedziała, że wystarczy jedno słowo. Jedno proste „nie”, a odszedłby nie protestując. Wybór należał do niej.

- Tak - jęknęła. - Tak, Ryane, zostań ze mną, kochaj mnie. Bardzo cię pragnę!

Usłyszała, jak szorstko wymawia jej imię. Przyciągnął ją mocno do siebie, trzymając za pośladki. Szeptał coś kusząco, usiłowała zdjąć mu spodnie, a widząc, że nie może się z tym uporać, pomógł jej, śmiejąc się cicho.

Teraz leżeli nadzy, obejmując się. Czuła gorącą skórę Ryana. Przysunęła się blisko do niego, rozkoszując się tym dotykiem. Słyszając ciche westchnienie, zastanawiała się czy to on, czy ona.

- Kochaj mnie - błagała, przysuwając się do niego.
- Ryane, kochaj mnie. Proszę... kochaj.
- Za chwilę, kochanie.
- Ryane!

Odpowiedział uśmiechem i uniósł się na łokciu, by spojrzeć na nią.

- Jesteś piękna - westchnął, pieścąc delikatnie jej piersi. Ujął ustami jedną z brodawek, a Lindsay jęknęła z rozkoszy, szepcząc jego imię i odchyliwszy głowę, oparła ją na jego silnym ramieniu.

- Ileż nocy spędziłem, marząc o tobie takiej, jak teraz. O niczym innym nie mogłem myśleć przez ostatnie parę miesięcy. Marzyłem jedynie o kochaniu się z tobą.

- Wiem, Ryane - zaśmiała się cicho. - Wierz mi, wiem.

- Czy masz świadomość, że tracę przez ciebie głowę? - Znów pieścił różowitką brodawkę, ssąc ją

zachłannie. - Firma mogłaby się rozpaść, a ja nawet bym tego nie zauważył.

Przejechała pieszczotliwie ręką po jego włosach. Jęknęła z rozkoszy, gdy delikatnie łaskotał jej uda. Po chwili ręka dotarła do celu, a Lindsay była w stanie wydać z siebie jedynie cichy jęk.

- Podniecam cię? - gryzł delikatnie jej dolną wargę.

- Tak! - odpowiedziała, choć było to raczej łkanie, aniżeli wyraźnie artykułowane słowo. Śmiałe pieszczoty doprowadzały ją do pełnej ekstazy. - Tak, Rynie, tak!

Położył się na niej. Lindsay mamrotała coś, unosząc zachęcająco biodra. Ryan zwodził ją przez chwilę, ocierał się o nią prawie, lecz nie przekraczał progu oczekiwanej rozkoszy, co doprowadzało Lindsay do szaleństwa.

- Ryan!

Szepnął coś, co tylko w połowie do niej dotarło. Czuła, jak jego mięśnie napinają się pod jej palcami. Głęboko odetchnęła, lecz przy pierwszym bolesnym nacisku krzyknęła cicho.

Ryan zaskoczony, znieruchomiał, próbując powstrzymać ostateczne wejście.

- Lindsay - spojrzał na nią zdumiony. - Kochanie, wybacz! Nie chciałem ci sprawić bólu. Ja nie wiedziałem...

- To nic - szepnęła, przytrzymując go, gdy próbował się wycofać. Czuła, że się czerwieni. - Naprawdę nic mi nie jest.

Uspokoił się.

- Boże, kobieto, ty zawsze mnie czymś zaskakujesz! Dlaczego nic nie powiedziałaś? Byłbym delikatniejszy, a poza tym łatwiej byłoby mi zrozumieć, dlaczego musiałem się tak męczyć przez ostatnie parę tygodni.

- Jesteś bardzo delikatny - zapewniła. - A dziewictwo nie jest tematem, który porusza się w codziennej rozmowie.

- Chyba masz rację - zaśmiał się. Pocałował ją.
- Któregoś dnia chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób kobieta tak pociągająca, jak ty, w wieku dwudziestu sześciu lat zachowała niewinność, z którą przyszła na świat.

- Wybrzydzałam - drażniła się. - Czyżbyś nie słyszał o cierpliwych kobietach, które decydują się tylko na to, co najlepsze?

Uśmiechnął się. Po chwili jednak spoważniał i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nigdy cię nie skrzywdzę! - szepnął. - Za nic na świecie!

- Wiem. - Objęła go mocno za szyję i uniosła głowę, by go pocałować. - Kochaj mnie, Ryanie. Kochaj się ze mną.

- Nie, Lin - szeptał, gdy przylgnęła do niego.
- Kochanie, proszę. Muszę jeszcze coś zrobić.

Oszołomiona, przylgnęła doń całą sobą, gdy Ryan próbował uwolnić się z jej uścisku.

- Nie rozumiem... aha. - Zawstydzona wtuliła twarz w jego ramię wreszcie pojmując. - Nie musisz, Ryanie. Naprawdę...

- Muszę - mruknął, całując jej ucho. - Kochanie się z tobą jest jedyną rzeczą, o jakiej marzę, Lin. Ale nie za taką cenę. Nie mogę zrujnować twojej przyszłości...

- Proszę! - Nie puszczała go mimo niezręczności sytuacji. - Ryanie, ja... usiłowała dobrać słowa, by wytłumaczyć kwestię regularności jej kobiecego rytmu.
- Gdybym nie miała pewności, nie zgodziłabym się

na... Ja chyba... Chyba cię kocham, pomyślała, nieomal wymawiając to na głos, ale w ostatniej chwili powstrzymała się w obawie, że zanadto się spieszy. - Nie prowadziłabym takiej gry, nie z tobą, Ryanie.

- Lindsay! - wtulił twarz w jej szyję, drżąc lekko.

- Jesteś pewna, kochanie?

- Tak - odparła uśmiechnięta, całując go delikatnie.

- Jestem.

- Tak czy nie, ja wyjeżdżam jutro na parę dni do Provincetown, bo nie chcę, by jakakolwiek niepewność zepsuła dwa nadchodzące tygodnie.

- Kochaj mnie - mruzczała przymilnie, wsuwając się pod niego. - Teraz masz się ze mną kochać.

- Tak - całował ją. - Tak.

Ryan rozkoszował się nią, jakby dopiero w tym momencie rozpoznał swoje pragnienia. Jego doświadczenie i instynkt mistrza ceremonii sprawiły, że Lindsay dotarła do progu spełnienia.

Powoli, powstrzymując swoją gotowość, pozwolił jej zbliżyć się do szczytu. Chciał, by w pełni mogła rozkoszować się tym nowym doznaniem. Czułymi słowami potęgował jej pożądanie tak, by pozwoliło im wspólnie chłonać rozkosz.

Lindsay oddawała mu się chętnie, wręcz z pasją. Dochodzili do spełnienia razem, aż wreszcie poznała to nowe uczucie głębokiego napięcia, przechodzącego w drżenie, które pozwalało skoncentrować się jedynie na złapaniu oddechu. Ryan wyczuł to napięcie, więc zmienił swój rytm, dopasowując się do niej.

- Ryan... - ścisnęła go mocno za szyję, podciągając nogę wysoko na jego plecy. - Ach, Ryanie...

- Wspaniale - szeptał bez tchu. - Odpręż się

i pozwól mi się prowadzić. Spokojnie, chcę byśmy byli tam razem...

Krzyknęła cicho, wyprężając się nagle. Czuła rozrywający wewnątrz żar. Próbowwała złapać oddech. Szept Ryana docierał do niej tylko we fragmentach.

Opadli na łóżko bez sił.

- Boże...

Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że to był głos Ryana - szept pieszczący jej ucho.

Serce zaczynało bić równomiernie. Zdołała wreszcie złapać oddech, jednak miała wrażenie, że każda cząstka jej ciała nadal drży. Ryan mruzczał coś jeszcze, by po chwili unieść się na łokciu i spojrzeć na nią.

- A więc to właśnie traciłam przez minione lata.

- Lindsay uśmiechnęła się nieśmiało.

- Mniej więcej - zaśmiał się. - Oczywiście jest jeszcze wiele do odkrycia, gdybyś była zainteresowana...

- Czy próbuje mnie pan nakłonić do leniuchowania i życia wyłącznie przyjemnościami, panie McCrea?

- Spojrzała na niego figlarnie.

- Jak najbardziej - mruzczał. - Skoro uświadomiłem ci istnienie przykrych stron dziewictwa, to przynajmniej tyle mógłbym zrobić rekompensując ci stracony czas.

- Jesteś nad wyraz hojnym człowiekiem. - Lindsay roześmiała się z zadowoleniem.

- Próbuję odkupić swe winy - odparł, pieszcząc jej piękne ciało. - Poza tym mam zamiar bardzo pracowicie spędzić nadchodzące dni, tak, by uzupełnić braki twego wykształcenia w tej materii. - Całował ją powoli, podsycając wewnętrzny żar. - I muszę przyznać, że zdziwiłbym się, widząc cię pochłoniętą przez najbliższe parę dni zajęciami zawodowymi.

Dotrzymał słowa - praca leżała odłogiem, gdy tymczasem on uczył Lindsay poznawać kobietę, którą była, ale której dotąd nie znała. Byli tylko oni dwoje, zanurzeni w słońcu, morzu... Były pragnące siebie rozpalone ciała. Czas nie był już gonitwą wskazówek, ale nieprzerwanym pasmem rozkoszy i odkryć, przerywanym jedynie snem i wyprawami do Provincetown, służącymi tak przyziemnym, lecz niezbędnym celom, jak zdobycie prowiantu. Choć prawdę powiedziawszy, gdyby mogli, to żyliby najchętniej śmiechem i ekstazą, a żywili namiętnością.

Byli przekonani, że tak już będzie zawsze.

Lindsay otrząsnęła się ze wspomnień i wróciła do rzeczywistości. Zorientowała się, że wciąż jest w biurze. Dobry Boże, co się z nią działo, przecież tak bardzo stara się o tym wszystkim zapomnieć.

Wstała energicznie, chwyciła torbę i podążyła w stronę drzwi. To czyste szaleństwo. Zna przecież o wiele ciekawsze metody spędzania czasu, niż wspomnianie miłosnych uniesień z facetem, którego nie widziała od trzech lat!

Jeff miał rację, pomyślała z goryczą. Czemu nie pójdziesz sobie tam, skąd przyszedłeś i nie zostawisz nas w spokoju!

Ten weekend był bez wątpienia najgorszy, jaki pamiętała. Poniedziałek też do najlepszych się nie zaliczał. Spędziła cały dzień na budowie w Salem. Starła się nie dopuszczać do siebie myśli, osaczających ją od paru dni. Im bardziej starała się zapomnieć o Rynie, tym trudniej było o nim nie myśleć. W drodze powrotnej do Bostonu miała ochotę krzyknąć w samochodzie.

Marg podniosła głowę znad biurka, słysząc kroki Lindsay.

- Myślałam już, że wyjechałaś z kraju. Miałaś zły dzień?

- W skali od jednego do dziesięciu mniej więcej minus pięć. - Lindsay rzuciła projekty na biurko.

- Czy Jeff dawał jakiś znak życia?

- Zupełna cisza - odparła Marg, nie kryjąc oburzenia. - Dzwoniła Opel Westlake. Chciała ci przypomnieć o oblewaniu nowego domu, w przyszłym tygodniu.

- Ruszyła za Lindsay i nachylając się nad jej kalendarzem, zaznaczyła tę datę. - Nie wypada ci o tym zapomnieć, jeśli masz być gościem honorowym.

- Stracić jedno z tych głośnych przyjęć u Opel i Briga Westlake'ów? - zaśmiała się Lindsay. - Za nic w świecie, nawet jeśli będę musiała oprowadzać gości po całym domu.

- Radosne chwile wziętego architekta - odparła Marg z uśmiechem. - Czy widziałaś notatkę o sobie w *Better Homes and Gardens*? Tym razem udało im się napisać twoje nazwisko bez błędu.

- To dowód, że nadchodzi dobra passa.

Marg zaśmiała się.

- Dzwonił Ryan.

Lindsay ścisnęło coś w żołądku. Przeszła na drugą stronę biurka i spytała spokojnie:

- No i co?

- Nic, powiedział, że będzie próbował cię złapać.

Lindsay pokiwała głową. Zaczęła przeglądać swoją pocztę, jednak litery nie układały się w żadną czytelną treść.

- Jest po czwartej, Marg. Możesz już chyba pójść do domu. Ja i tak długo tu nie zabawię.

- Trzymam cię za słowo - odparła Marg, zamykając drzwi. - Tylko nie siedź po nocy, dobrze?

- Obiecuję - powiedziała Lindsay. Wpatrywała się jeszcze przez chwilę w zamknięte drzwi, po czym odłożyła pocztę i westchnęła głęboko.

Czuła się osaczona. Nie miała ochoty wracać do domu, a co gorsza, w ogóle nie miała ochoty tam przebywać. Żałowała, że odrzuciła zaproszenie Marg.

Cóż, za późno. Wsłuchiwała się jeszcze w cichnący odgłos kroków sekretarki, ale po chwili wstała i odwróciła się w stronę okna. Przyglądała się krytycznie odbiciu długonogiej dziewczyny w szybie.

Wróciła do biurka zniecierpliwiona, zapaliła lampę i zaczęła studiować leżący tam projekt. Był to wstępny szkic remontu domku Antona Borowca, autorstwa Jeffa. Linie nakreślone zdecydowaną ręką, jednak jakby zamazane. Zamazane? Zastanawiała się przez chwilę nad znaczeniem tego słowa. Miała po prostu wrażenie, że kreskę na papierze stawiano bez uczucia. I nie było to tylko wrażenie. Jeffa nie interesowały budynki niższe od dwudziestopiętrowych.

Nie, to nie fair, pomyślała Lindsay. Jeff jest dobrym architektem, tylko niecierpliwym.

- Do jasnej cholery, Lindsay! - krzyknął jakieś dwa lata temu Jeff. - Nie możemy przecież czekać w nieskończoność! On nie wróci. A my możemy albo spędzić resztę życia pielęgnując firmę McCrea, albo wreszcie zacząć działać na własną rękę. Co wybierasz?

To właśnie dzięki tej niecierpliwości powstała spółka *Webster i Forrest*. Nie było łatwo, na pewno nie przez pierwsze parę miesięcy. Pracowali do upadłego, by utrzymać się na rynku. Potem Lindsay wykonała

zamówienie na centrum handlowe w Cambridge, zaś Jeff zaprojektował Atrium.

A dzisiaj? Szło im całkiem nieźle. Są nawet szanse że to się nie zmieni, pod warunkiem jednak, że będzie mogła skupić się nad pracą dłużej niż dwie minuty.

Pijąc zimną kawę, przyglądała się projektowi znad kubka. Śledziła wzrokiem zarys budynku, sprawdzając zgodność łączeń i przecięć pięter, proporcję przestrzeni i obszarów zamkniętych. Po chwili bezwiednie sięgnęła po ołówek.

Jej pierwsze pociągnięcia były delikatne, przerywane tak jakby zastanawiała się nad sensem, duszą tego budynku. Sam pomysł gdzieś istniał, może nie w pełni skryształizowany, jednak szkielet już był. Brakowało tylko paru pociągnięć ręki, by nabrało to realnych kształtów.

Ślady ołówka stawały się coraz wyraźniejsze, projekt nabierał życia. Ustawiła lampę i pochyliła się nad stołem. Zwiększyła kąt dachu, chcąc uwydatnić morze i sosny...

Siódma trzydzieści, Lindsay spojrzała z niedowierzaniem na zegarek. Siedziała nad tym trzy i pół godziny. Masowała sobie szyję, wpatrując się w szkic. Uśmiechnęła się. Tak, teraz jest dobrze, bardzo dobrze.

Zgasiała lampę. Czas iść do domu, powiedziała do siebie. Wziąć prysznic i wyspać się, a jutro rano będzie można sobie gratulować niezaprzecznego talentu.

Parking w garażu był praktycznie pusty. Obcasy jej kowbojskich butów wybijały staccata, odbijające się echem od betonowych ścian, gdy zmierzała do swojego niebieskiego mercedesa. Nagle w mroku zauważyła drugi samochód. Stalowszcare maserati.

Obok stał, z założonymi rękoma, Ryan McCrea.

Lindsay zamarła w bezruchu. Jasnoruda, skórzana kurtka rozpięta do połowy, postawiony kołnierz, obcisłe dżinsy... Wyglądał wyzywająco, a w skierowanym na nią spojrzeniu dostrzegła coś nieprzejednanego.

Odważnie ruszyła w jego stronę, wyciągając z torebki kluczyki od samochodu. Wrzuciła aktówkę i rysunki projektu Borowca na tylne siedzenie mercedesa.

- Wątpię, żebyś miał ochotę opowiedzieć mi, jak się tu dostałeś bez interwencji ochrony?

- Mój urok osobisty - odparł śmiejąc się. Znowu stanął przed nią ten sam Ryan McCrea, z jasnymi, roześmianymi oczyma. - Tam na górze siedzi uroczy staruszek, który sądzi, że jestem twoim zaginionym bratem powracającym z misji znad Morza Południowego.

- Jesteś niepoprawnym i nałogowym kłamcą, Ryanie. - Lindsay roześmiała się swobodnie.

- Impulsywnym - poprawił ją - a to ogromna różnica. - Przyglądał się jej wyczekująco.

- Marg mówiła mi, że dzwoniłeś. - Otworzyła drzwi i usiadła za kierownicą.

- Jakież cztery lub pięć razy. Czy ty nigdy nie dzwonisz do biura, będąc w terenie?

Rzuciła mu powłóczyście spojrzenie. Przyłapała się na trudnej do opanowania przyjemności czerpanej z dokuczania mu.

- Nie było w pobliżu telefonu.

- Z automatycznej sekretarki też rzadko korzystasz. Dzwoniłem wczoraj parę razy.

- Byłam zajęta. Zawsze, kiedy pracuję, wyłączam tę natrętną maszynę i najprawdopodobniej potem zapominam włączyć. - Wzruszyła obojętnie ramionami.

- Pracowałaś? W niedzielę rano? - wydał usta w pokpiwającym uśmieszku. - Pamiętam jeden lub dwa niedzielne poranki, kiedy praktycznie nie wychodziliśmy z łóżka do południa. Jeśli dobrze sobie przypominam, popołudnia również tam spędzaliśmy.

Udało jej się wytrzymać to spojrzenie.

- Musiałeś mnie pomylić z kimś innym, bo ja zupełnie sobie tego nie przypominam.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Odsunął się od swego maserati i nachylił nad nią.

- Wpadnij do mnie na drinka. Przebiorę się i pójdziemy gdzieś na kolację.

- Nie, dziękuję -włączyła silnik i wrzuciła bieg.

- Nigdy się niczego nie bałaś, Lindsay - zaśmiał się Ryan.

To było wyzwanie. Skóra na kostkach jej palców zbielała, gdy zacisnęła dłonie na kierownicy, ale nie ugięła się.

Ryan nachylił się i chwycił kierownicę.

- Jeśli przeraża cię wizja obudzenia się rano w moim łóżku, to chyba nie moja wina.

Trafił w dziesiątkę. Rzeczywiście Lindsay miała mnóstwo obaw, ale nie dała tego po sobie poznać. Oparła się wygodnie w fotelu i spojrzała mu prosto w oczy. - Przeceniasz swe możliwości, Ryanie. Tak mogłoby się stać trzy lata temu, ale dzisiaj twój urok już na mnie nie działa.

- Do licha, Lindsay...! - Zacisnął pięści.

Zamknął oczy, jakby szukał wewnętrznej siły. Kiedy je z powrotem otworzył, jego wzrok był wręcz błagający.

- Lin, to było trzy lata temu. Chcę z tobą trochę pobyć, chcę porozmawiać. Czy proszę o zbyt wiele?

Spojrzała na niego nieufnie, wiedziała, że łatwo nią manipulować. Powinna wrzucić bieg i zniknąć w mroku. Coś jednak ją powstrzymywało.

- Czy nadal lubisz hiszpańskie omlety? - wyrwało jej się, zanim zdążyła pomyśleć o złożonej w ten sposób ofercie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ryan był zaskoczony, jednak zgrabnie wybrnął z sytuacji.

- Jedynie w twoim wykonaniu - odparł, uśmiechając się na samo wspomnienie.

Lindsay oderwała wzrok czując, że wpadła we własne sidła. Na Boga, cóż ona wyrabia? Prowadzenie potyczek słownych z facetem w podziemnym garażu to jeszcze nie powód, by zapraszać go na kolację do domu. Dałaby wiele za możliwość wycofania się z tej propozycji. Wiedziała jednak, że jedynym wyjściem jest przyznanie, iż boi się przebywać z nim sam na sam.

W lusterku swego samochodu ujrzała srebrne maserati, które, podążając tuż za nią, przebijało się przez falę samochodów jak rekin - cicho i płynnie, lecz nieuchronnie.

Miała nadzieję, że uda się jej zgubić go gdzieś na trasie biuro-dom, jednak utrzymywał stałą odległość, uniemożliwiając ten fortel. Gdy dotarli na miejsce, poradził sobie ze strażnikiem równie łatwo, jak poprzednio. Nie miała innego wyjścia, jak zaprosić do środka stojącego pod jej drzwiami Ryana.

- Masz ochotę na drinka?

- Brandy, jeśli jest.

Otworzyła dobrze zaopatrzony barek, wyjęła dwa kieliszki, nalewając Ryanowi brandy, a sobie białe wino.

Odwracając się, by podać mu kieliszek, zobaczyła, że nadal stoi w tym samym miejscu, rozglądając się uważnie po pokoju. Lindsay uśmiechnęła się. Mały apartament, który wynajmowała trzy lata temu w niczym nie przypominał tego. Poza tym jej gust bardzo się zmienił, odkąd Ryan wyjechał. Salon urządzony był nowocześnie, cały w bieli, z delikatnymi akcentami czerni. Wytworne połączenie marmuru z chromem i przyciemnianym szkłem oraz kusząca wygodą miękkość mebli, wszystko to znamionowało dostatek i dowodziło oryginalności stylu. Nie znanego Ryanowi stylu nowej Lindsay Forrest. Obserwowała, jak starał się odnaleźć związek między tym otoczeniem a Lindsay, kobietą znaną mu przed laty.

- Zamierzasz pić z obu kieliszków?

Jego cichy głos wyrwał ją z zamyślenia. Wyciągnęła rękę w jego stronę, śmiejąc się cichutko.

- Przepraszam. Może rozpalisz w kominku, a ja tymczasem oddam się kulinarnym szaleństwom?

Biorąc kieliszek, musnął jej dłoń palcami i sprawił, że omal nie wypuściła go z ręki. Kącik jego ust drgnął. Patrzyli się na siebie przez ułamek sekundy, po czym Ryan bez słowa podszedł do kominka.

Lindsay westchnęła, opuszczając pokój.

Z desperacją rozejrzała się po kuchni. Z salonu dobiegało ciche pogwizdywanie Ryana. Po chwili włączona przez niego aparatura wypełniła dom muzyką. Z salonu dobiegało ciche trzaskanie ognia w kominku, niegłośny lot spadających iskierek i brzęk kieliszków dopełniały harmonii kojących dźwięków.

Zbyt kojących.

Do licha, na cóż liczyła zapraszając go tutaj?

Próbował składać coś, co rozsypało się przed laty, a ona nie miała już na to ani czasu, ani ochoty.

O wiele bezpieczniej byłoby spotkać się z nim na neutralnym gruncie restauracji, niż podejmować go w domu. Spojrzała na zegar. Było jeszcze wczesnie. Mogłaby się przebrać i

- Pomóc ci? - spytał Ryan, stając w drzwiach kuchni z kieliszkiem w dłoni.

- Nie - odparła bez wahania, ale po chwili, poczuła się głupio i uśmiechnęła się. - Przestraszyłeś mnie. Jakoś dziwnie się czuję, widząc cię... - urwała nagle, nie kończąc zdania. Zapadło milczenie, którego tłem był prozaiczny dźwięk ubijanych jajek.

- Po raz pierwszy od trzech miesięcy czuję, że naprawdę wróciłem do domu - powiedział cicho, opierając się o ścianę. - Tęskniłem za tobą, Lindsay. Tęskniłem za rozmową, za wspólnym chodzeniem na koncerty, za leniuchowaniem przy tobie, przy Bachu i *Sunday Times* w niedzielne popołudnia.

- Sobotnie poranki na *bazarze* Faneuil Hall - przypominała sobie z uśmiechem. - Małe sklepiki na Buli Market, potem cappuccino i rogaliki w przydrożnej kafejce.

- Obowiązkowe zakupy francuskiego pieczywa, duńskich serków i tego słodkiego, czerwonego wina, które tak bardzo lubiłaś.

- Zapomniałeś o lodach - spojrzała na niego rozbawiona. - Nie byłam tam już od lat. Ciekawe, czy w delikatesach na rogu nadal sprzedają te pyszne pastrami...

- Jest tylko jeden sposób, by się przekonać. Pojedźmy tam jutro.

- Obawiam się, że będziesz musiał pojechać tam beze mnie - odparła, ubijając jajka i dosypując

przyprawy, już bez drżenia rąk. - Jeff jest jeszcze w Nowym Jorku, a ja ledwo trzymam się na nogach.

- Rozumiem - powiedział Ryan po chwili męczącej ciszy. Przełykając spory łyk brandy, oderwał się od ściany i podszedł do okna. Lindsay nadal ubijała jajka, kątem oka bacznie go obserwując. Zadaj mu to pytanie, nakazywał wewnętrzny głos...

Wiedziała, że nie zazna spokoju, póki tego nie zrobi, a lepsza okazja może się nie powtórzyć.

- Ryan - powiedziała nie patrząc na niego. - Dlaczego wyjechałeś bez słowa? Bez... - urwała, bawiąc się trzepaczką. Bez żalu - chciała dokończyć, ale wolała uniknąć oskarżycielskiego tonu.

Ryan milczał.

- Sam chciałem wiedzieć - odparł po chwili, nie odwracając się. - Bardzo chciałem wiedzieć.

Lindsay czekała, aż skończy, jednak zorientowała się, że wpatrzony w mrok, zatopił się we wspomnieniach.

Pokiwała głową i wróciła do ubijania omletu. Ryan westchnął głęboko.

- Zadawałem sobie to pytanie tysiąc razy i nigdy nie potrafiłem znaleźć rozsądnej odpowiedzi.

Spojrzała w jego stronę. Nie to spodziewała się usłyszeć. Ale z drugiej strony czegoż mogła oczekiwać?

- Zraniłaś moją dumę. Oto ja - geniusz nowoczesnej architektury - wzgardzony, odrzucony. - Śmiał się kręcąc głową z udawanym oburzeniem. - Chore ego! - Oparł łokcie o stół, bawiąc się kieliszkiem brandy. - Byłem wtedy bardzo niecierpliwy, Lindsay. Chciałem mieć wszystko naraz. Nie rozumiałem, że są rzeczy, na które warto czekać - umilkł na chwilę. - Poza tym byłem okropnie zarozumiały! Przyzwyczajono mnie,

że wszystko działo się tak, jak ja tego chciałem i kiedy tego chciałem. Obchodził mnie jedynie mój sukces, moja kariera i moje życie. - Spojrzał na nią. - Nie mogłem wtedy pojąć, dlaczego nie rzucasz wszystkiego na czym ci zależy, by jechać ze mną - mając zagwarantowane jedynie sześć miesięcy miłości w brazylijskim słońcu.

Lindsay uśmiechnęła się, podniosła kieliszek do ust i delektowała się jego zawartością.

- Jeśli mam być szczerą, to sama nie wiem, czego od ciebie wtedy oczekiwałam, czego w ogóle od ciebie oczekiwałam.

- Zasługiwałaś na dużo więcej, niż to, co ci dawałem - odparł szybko*. - Ja byłem gotów tylko brać, nie dając nic w zamian. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Wiedziałem jedynie, że chcę mieć cię przy sobie, a twoja odmowa zraniła mnie boleśnie. Byłem tak wściekły, że nawet nie przyszło mi do głowy postawić się w twojej sytuacji. Urażony głęboko, uciekłem tłumacząc sobie, że łatwiej poradzę sobie bez ciebie.

Lindsay patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- A ja przez cały czas myślałam...

- Myślałaś, że to był jedynie mój kolejny romans - dokończył za nią. - Łowca przygód. Zresztą nie dawałem ci powodu, byś mogła myśleć inaczej. - Uśmiechnął się, potrząsając kieliszkiem brandy. - Zrozumiałem to wszystko po pewnym czasie. Uświadomiłem sobie, że nie miałem prawa żądać, żebyś zrezygnowała z najpoważniejszego projektu w swojej karierze. Jesteś zbyt dobrym architektem, by jakikolwiek mężczyzna mógł tego od ciebie oczekiwać. Straciłem cię, a ty i tak nigdy byś mi tego nie wybaczyła.

- Ale nie wróciłeś - odparła cicho. - Nawet kiedy skończyłeś pracę u Fuentesesa.

- Nie wróciłem - zacisnął palce na kieliszku. Nie patrzył na nią. - Kończyłem właśnie zamówienie, gdy przyszedł list od Jeffa, z którego wynikało, że zakładacie własną firmę. Należało wtedy wrócić, ale byłem tak urażony i wściekły, że... - pokręcił głową i westchnął. - Duma bardzo często jest wrogiem zdrowego rozsądku, Lin. Im dłużej się ociagałem, tym trudniej było wrócić. - Zaśmiał się gorzko. - Boże, jakim ja byłem idiotą!

Lindsay spojrzała na niego zdziwiona. To nie był ten sam człowiek, którego znała i kochała trzy lata temu.

To był ktoś obcy, kto patrzył na nią oczyma dawnego Ryana McCrea.

Położył ręce na jej ramionach.

- Lindsay, wiem, że oczekujesz ode mnie sensownej odpowiedzi, ale ja doprawdy nie wiem, co powiedzieć. Jest tysiąc powodów i żadnego uzasadnienia faktu, że cię opuściłem. Złóż to na karb niedojrzałości, egoizmu, chorego ja i dodaj jeszcze do tego straszliwą głupotę.

- Trudno się z tobą nie zgodzić - zachichotała przekornie.

Napięcie minęło. Ryan żartował jeszcze przez chwilę, po czym jego ręce mocniej zacisnęły się na jej ramionach. Po chwili jednak odsunął się, udając, że całą uwagę skupia na sałatce.

- Czy jest już gotowa? Umieram z głodu! - Wy-skubał plasterk ogórka.

- Prawie. Podaj mi talerze. - Spojrzała na niego ukradkiem. Ileż to czasu minęło, odkąd z taką przyjemnością przygotowywała dla niego omlety?

Czuła, że przygląda się jej z zainteresowaniem, postanowiła więc skupić się na kompletowaniu talerzy.

- Postawmy je przy kominku. Weźmiesz moje wino?

Ustawiła wiktuały na bambusowej tacy, zastanawiając się, jak to się stało, że tak łatwo straciła kontrolę nad sobą. Poprzysięgła, że noga Ryana już nigdy nie postanie w jej domu, a już z pewnością nie planowała kolacji.

A oto siedzieli razem przy kominku, wspominając wspólnie spędzone chwile. Ich śmiech zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Lindsay przyglądała się Ryanowi przez cały czas, nie bardzo pewna, czy jest tu naprawdę, czy też za chwilę obudzi się, by po raz kolejny odkryć, że to był tylko sen.

Teraz leżał przy niej, wyciągnięty na podłozie, trzymając na piersi kieliszki z winem. Podłożył pod głowę parę poduszek. Jego profil wydawał się w świetle ognia wyjątkowo męski. Jakiś niesforny kosmyk włosów tańczył po czole. Bezwiednie wyciągnęła rękę, by go odgarnąć.

Czy rzeczywiście minęły już trzy lata od ostatniego spotkania? A jednak. Podobne zdziwienie dostrzegła w jego oczach i uśmiechu. W pewnym sensie był starszy o więcej, niż te trzy lata. Emanował z niego spokój i dojrzałość, nie mająca nic wspólnego z wiekiem. Mogło się wydawać, że całkowicie panował nad swymi reakcjami.

Sprawił natomiast wrażenie trochę bezbronny. Wiedziała, że mimo usilnych starań nie potrafi o nim zapomnieć.

Było jej z nim dobrze, choć świadomości tej towarzyszyło poczucie winy. Zupełnie jakby czas cofnął się, wymazując z pamięci wszystkie przykre chwile

i wspomnienia. Światło kominka podkreślało jego urodę, a usta rozchyłały w delikatnym uśmiechu. Miała ogromną ochotę dotknąć palcami jego warg, zawahała się jednak.

Sytuacja przybierała zupełnie nieoczekiwany obrót. Nie powinno go tu być, nie powinien leżeć przed jej kominkiem, wywołując te wszystkie wspomnienia.

Problem polegał na tym, że nie spodziewała się takiej reakcji z jego strony. Nie przewidywała podobnej sytuacji. A prawdę powiedziawszy, nie potrafiła nawet stwierdzić, o co w rzeczywistości jej samej chodzi.

Zorientowała się, że jest obserwowana. Zamarła, kiedy wyjął kieliszek z jej ręki i odstawił go na bok. Dźwięk dotykającego marmuru szkła był tak nienaturalnie głośny, że wręcz boleśnie zakłócił panującą ciszę.

Ryan przysunął się powoli. Głaskał ją delikatnie po twarzy, potem szyi. Starła się stawiać opór, jednak na próżno, przyciągnął ją delikatnie do siebie.

Jego usta rozchyliły się zachęcająco, Lindsay koniuszkiem języka zarysowała kształt jego warg. Wstrzymał oddech. Poczuła jego udo między swymi nogami, jego drżące dłonie obejmujące jej głowę. Zanurzył palce w jej włosach, a ona gryzła delikatnie jego wargę. Poczuła raczej, niż usłyszała, jego ciche westchnienie. Rozchyliła usta pod naciskiem języka, penetrującego ciepłe wnętrze jej ust z wprawą, o której już prawie zapomniała.

- O Boże, Lin... - błagał cicho.

Jego pocałunek miał smak wina i słodkiego pożądania. Odchyliła delikatnie głowę, niezdecydowana, czy chce dalej prowadzić tę grę. Ryan zastygł bez ruchu w obawie, że urok chwili pryśnie, Lindsay odejdzie.

Nagle przyciągnął ją do siebie i zaczął powoli, namiętnie całować. Poczowała obezwładniające ciepło.

Zanim zdążyła się zorientować, leżała już na plecach. Całował ją, szepcząc coś, a ona czuła, jak krew pulsuje w żyłach.

- Ryan... - westchnęła, gdy zaczął pieścić koniuszek jej brodawki przez materiał.

Bąknął coś pod nosem, niecierpliwie rozpinając guziki bluzki i wyciągając ją ze spodni. Zanim zdążyła zaprotestować, podciągnął jedwabną halkę i ponownie pieścił jej pierś, zarysowując językiem małe spirale i kąsając już obrzmiały koniuszek.

- Ryan...! - Zacisnęła palce na jego włosach, chcąc go odepchnąć, ale tylko przyciągnęła go do siebie. Czuła, że jej spragnione pieśczone ciało chętnie reaguje na dotyk jego rąk i ust, jakby czekało na tę chwilę od lat.

- Lindsay, przez te trzy lata marzyłem, by cię dotykać, chłonąc zapach i smak twojej skóry. - Koniuszkiem języka torował sobie drogę od piersi w dół, do paska spodni.

- Ryan...! - Czuła, że jest spychana w otchłań i jeśli nie zrobi czegoś, by się natychmiast oswobodzić, to spadnie w ciemną czeluść i już nigdy się stamtąd nie wydostanie.

Słabo, jakby z oddali, usłyszała odgłos rozsuwanego zamka, lecz nie zareagowała do chwili, gdy ręka Ryana spoczęła na jej łonie. Czuła ciepło tej dłoni i palców.

Jęknęła cicho, gdy delikatnie całował jej szyję. Poczowała mocniejszy nacisk jego ręki i wstrzymała oddech.

- Lin...?

Przełknęła ślinę i mocno zacisnęła powieki.

- Nie - szepnęła cichutko.

- Lindsay - zamruczał. - Wiem, że zjawiłem się niespodziewanie i jesteś zaskoczona. Wiem, że czujesz się zraniona, zagubiona i wściekła, że powinno się mnie dotkliwie ukarać za to, co ci zrobiłem. Ale proszę, nie odpychaj mnie teraz. - Obsypał ją pocałunkami. - Chcę z tobą dzisiaj zostać. Chcę, byśmy się przez całą noc kochali tak, jak kiedyś. Poproś mnie, bym został...

Pokręciła głową, nie ufając swemu głosowi, nie ufając tej części siebie, która gotowa była powiedzieć „tak”.

- Nie. Nie... teraz.

Przez chwilę miała wrażenie, że nie usłyszał, co powiedziała albo po prostu zignorował ją. Westchnął jednak i po chwili zapiął suwak wraz z guzikami. Przytulił ją do siebie, masując delikatnie plecy.

- Czy mogę uważać, że owo „teraz” daje mi jeszcze jakieś szanse?

- Nie wiem - szepnęła. Usiadła, czując, że jej twarz jest bardzo rozpalona, nie tylko z powodu wina i bliskości kominka. Trzęsącymi się palcami zapięła bluzkę, nie patrząc na Ryana.

Westchnął ponownie i odwrócił się na plecy. Lindsay odważyła się wreszcie spojrzeć. Jednak on jej nie widział, trzymał bowiem rękę na czole. Dostrzegła natomiast grę mięśni na jego twarzy. Wyglądało to tak, jakby zgrzytał zębami.

- Posprzątam naczynia - powiedziała cicho. Ryan nie wykonał najmniejszego ruchu, jakby nie usłyszał jej głosu.

Zebrała więc naczynia i poszła do kuchni. Stała w ciemności, próbując się uspokoić. Po chwili zaczęła

opłukiwać talerze i szklanki, by trzęsącymi się rękami wstawić je do zmywarki.

To twoja wina, tłumaczyła sobie twardo. Nie jesteś tak odporna, jak sobie to wmawiałaś, na ten jego diabelski urok.

Kawa, pomyślała. Zrób kawę, a potem, po jakimś czasie możesz go poprosić, by wyszedł i na tym wszystko się zakończy.

Odetchnęła głęboko i weszła do salonu.

- Ryan, czy masz ochotę...? - urwała zaskoczona rozglądając się po pokoju. Ryan znikł.

Na kominku nadal syczały palące się szczapy rzucając ciepłe światło na pokój. Muzyka Bacha wypełniała cały dom. Po chwili zorientowała się, że w jej pokoju pali się światło.

Ryan wyjął projekty Borowca i rozłożył je na stole kreślarskim. Przyglądał się im uważnie, oparty jedną nogą o taboret.

Patrzyła na niego w milczeniu. Powinna być wściekła, że tak łatwo wtargnął do jej intymnego świata, ale czuła jedynie wewnętrzną satysfakcję. Wiedziała, że przywiodła go tutaj zawodowa ciekawość, a nie zwykłe ludzkie wścibstwo. Przynajmniej pod tym względem się nie zmienił.

Ryan podniósł głowę, zorientowawszy się dopiero po chwili, że nie jest sam. Wyprostował się, uśmiechnięty.

- Dobra robota, panno Forrest.

- Dziękuję - odparła, idąc w jego stronę z rękoma w kieszeni.

- Facet ma niesamowite wymagania. Wygląda na to, że prościej byłoby zburzyć tę ruinę i zbudować wszystko od nowa.

- Gdyby poświęcił pan, panie McCrea, więcej czasu sprawozdaniom inżynierskim - pouczyła go, opierając się jednym biodrem o stół - zauważyłby pan, że ten dom jest w całkiem dobrym stanie, a zmiany, których dokonuję, są minimalne.

- Rozumiem, panno Forrest - ukłonił się szarmancko. - Tylko nie daj mu się namówić na basen, przy którym się upiera. Grunt w tamtych rejonach jest mało stabilny i za parę lat obsunąłby się ze skały, ciągnąc ze sobą cały dom.

- Dziękuję bardzo, ale sama jestem w stanie robić fachowe pomiary - przypomniała mu rzeczowo.

- Przepraszam. Trudno wyzbyć się starych nawyków.

- Zauważyłam.

Ryan zmrużył oczy. Miała przez chwilę wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale wrócił wzrokiem do projektów.

- Co to za dziwne przedłużenie z jednej strony budynku?

- To sala gimnastyczna i siłownia - tłumaczyła spokojnie, starając się ignorować jego spojrzenie.

- Zaplanował sobie również jacuzzi i saunę, zamiast basenu. Szkice są na następnej stronie.

Ryan przewrócił kartkę i gwizdnął cicho.

- Imponujące - odparł, studiując wstępne szkice.

- Zawsze byłaś ambitna. Dopasowanie nowej budowli do lini starego budynku będzie bardzo trudne. Ten dom ma chyba ze trzysta lat.

- Dwieście, ale największy problem to dopasowanie kamienia na lini frontowej - wskazała palcem na rysunek. - Ta ściana ma prawie dwadzieścia pięć metrów długości i jest cała z kamienia. Przybudówka

z boku wymaga przedłużenia tej linii o następne sześć. Tam z boku masz próbkę owego kamienia.

- Dziwny kolor i struktura. - Podniósł go do światła. - Nie widziałem niczego takiego w pobliżu. Importowany?

- Pochodzi z małej, zamkniętej już kopalni w Maine. Większa część tej skały była niskiej klasy, używano jej więc do nasypów i fundamentów. Natomiast skała wyższej klasy przywożona była tutaj jako materiał budowlany.

Wzięła od niego kamień, patrząc nań w zamyśleniu.

- Będę musiała przekopać wszystkie boczne drogi w pięciu sąsiednich stanach, żeby znaleźć coś podobnego, a... - przerwała raptownie, czując, że Ryan przygląda się jej z dużym zainteresowaniem. Odeszła więc od stołu. - Chyba nie jesteś zainteresowany remontem Antona Borowca?

- Jeśli mam być szczerzy - zaśmiał się - bardziej interesuje mnie jego architekt, niż ta kamienna ściana. - Odłożył kamień na bok, ujmując jej rękę. - Jesteś dobra, Lindsay. Za dobra, by marnować swój czas z Websterem. Pracuj znów ze mną.

Uśmiechnęła się powoli i cofnęła rękę.

- Nie chcę dla nikogo pracować, Rynie. Nawet dla ciebie.

- Nie mówiłem nic o pracy dla mnie, Lin.

To brzmiało obiecująco, ale Ryan nie rozwijał tematu, a ona nie pytała. Odwróciła się, wzruszając obojętnie ramionami.

- Napijesz się kawy?

- Później. - Zgasił lampę i usiadł na taborcie. - Od kiedy zajmujesz się renowacjami?

- Od roku. - Odeszła trochę, czując się z tej

odległości bezpieczniejsza. - To pasjonujące, gdy możesz przekształcić starą budowę w coś nowego.

- Czasami można się przyzwyczać do zmian.
- Wyraz jego twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości, co miał na myśli.

Lindsay uniosła brew.

- Pozytywne zmiany mogą odmienić charakter, czy tak? Człowiek przestaje sobie wyobrażać, że jest centrum świata. - Trafiła w dziesiątkę. Ryan zacisnął usta i odwrócił się w stronę rysunków.

- Dużo pracy jak na takie pieniądze - powiedział po chwili. - Aż tak dobrze ci się powodzi, że możesz sobie na to pozwolić?

Miała ogromną ochotę powiedzieć mu, by pilnował własnego nosa, ale przypomniała sobie, że to przecież ona rozpoczęła tę dyskusję.

- Stać nas na to - odparła spokojnie.

Potem jakby trochę zawstydzona, że go zwodzi, zbliżyła się i wygładziła szkice na stole.

- Angela Borowiec miała w zeszłym roku wypadek samochodowy. Jest przykuta do wózka inwalidzkiego. Mieli do wyboru albo przeprowadzić się, albo wyremontować dom tak, by ułatwić jej życie. Przyszli do nas ze wstępnym zarysem i propozycją, którą przyjęliśmy - to nie jest remont, z jakimi mamy zazwyczaj do czynienia.

- A co sądzi na ten temat pan Webster? Poznając jego kreskę.

Przyjrzała mu się wnikliwie, ale nie dostrzegła nic poza zwykłą ciekawością, choć trudno było w to uwierzyć.

- Dawno o nim nie słyszałem.

- Nie można liczyć na to, że za każdą narysowaną

przez siebie kreskę znajdzie się swe nazwisko w nagłówkach gazet - odparła zbyt ostro.

- Tobie się to udaje, jesteś zawsze na czele, a od ostatniego sukcesu Jeffa minęły już dwa lata.

- Jeff radzi sobie całkiem dobrze. - Nie podobał jej się ton Ryana.

- Mówi się, że jest mistrzem tylko jednego dzieła - drażył uparcie Ryan.

- To nieprawda!

Ryan spojrział na nią ironicznie.

- Miał trochę... problemów - przytaknęła Lindsay po chwili. Zaczęła się bawić ołówkiem, nie podnosząc wzroku. - On tak bardzo stara się dorównać tobie. Boi się, że jeśli nie zdobędzie dobrego zamówienia, to do końca życia będzie grał drugie skrzypce.

- To i tak więcej, niż mu się należy - odparł Ryan.

Chciała zaprzeczyć, ale zorientowała się, że nie ma to najmniejszego sensu. Czego by nie powiedziała, nie będzie to miało wpływu na wrogość, jaką obaj do siebie żywili.

- Musisz być bardzo zajęta, pracując za dwoje - powiedział Ryan.

- Jest teraz zajęty czymś innym - odparła zirytowana, że się przed nim tłumaczy. - Wyświadczam mu po prostu przysługę, to wszystko.

Ryan roześmiał się z niedowierzaniem.

- Webster znudził się już tym projektem i jak zwykle zwałił to na ciebie. Gdzie on teraz jest? Poszukuje nie istniejącego zamówienia, które uczyni go najsławniejszym architektem świata?

- To nie....!

- Daj spokój, kochanie - wycedził. - Pracowaliście dla mnie oboje, pamiętasz? Czy sądzisz, że nie widziałem, co się działo przez te wszystkie lata?

- Pomagałam mu od czasu do czasu - próbowała się bronić. - I tak jest nadal. Na tym polega bycie partnerem i przyjacielem.

- Przyjaciele! - parsknął. - On cię wykorzystuje, Lindsay. Zawsze tak postępował z ludźmi.

- Ryan, to ...!

- Jeff Webster to pasożyt - odparł. - On nigdy nie miał własnego pomysłu. Nie zasłużył sobie na żadną nagrodę, które dostał.

- Co ty opowiadasz! - zachnęła się, czując, że nie ma argumentów na jego obronę. - Przecież już samo Atrium...

- Atrium w szczególności - wycedził.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie bardzo rozumiem, co chciałeś przez to powiedzieć? - Lindsay zmrużyła oczy.

Ryan uśmiechnął się. Lecz uśmiech ten nie wróżył nic dobrego. Podszedł do okna z właściwą sobie męską gracją.

- Budynek Lexingtona to jedna z najlepszych prac, jaką kiedykolwiek widziałem - powiedział spokojnie, nie patrząc na nią.

Lindsay poczuła wzbierającą złość.

- Czytałem wzmiankę na ten temat, będąc w Arabii Saudyjskiej - odwrócił się w jej stronę. - Twoje nazwisko wymieniono tam tylko dwa razy. Ktoś nie zorientowany w sytuacji mógł pomyśleć, że budynek jest dziełem twojego partnera.

- Nie mogę być odpowiedzialna za to, co wyczytałeś w jakimś tam artykule.

- Artykuł w najświetniejszym na świecie piśmie architektonicznym nie jest zwyczajną wzmianką, Lindsay. W ten sposób wyrabia się nazwisko, a Jeff buduje swoją sławę na kłamstwach.

- Jesteśmy partnerami - powtórzyła z naciskiem.

- Partnerami - ironizował. - Kochanie, to żadne partnerstwo, jeśli jedno wykonuje całą robotę, a drugie zbiera laury.

- To wcale nie tak - broniła się Lindsay. - Jeff jest dobrym architektem.

- Zaledwie kompetentnym - odparł. - I doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Odkąd zniknąłem z horyzontu, zaczął żerować na tobie.

- Jesteś niesprawiedliwy! - podniosła głos. - To Jeff trzymał wszystko w garści po twoim odejściu, to on trzymał mnie przy życiu! On...

- Położył na tym rękę, bo mu się to opłacało. A poza tym miał niepowtarzalną okazję odebrania tego, co należało do mnie. - Patrzyli na siebie przez chwilę. - Poza tym nie miał szansy bez ciebie - jesteś lepszym architektem niż on i masz głowę do interesów. Jeff jest zbyt cwany, żeby zmarnować taką okazję.

- Przemawia przez ciebie zazdrość. - Nerwowo przemierzała pokój. Widocznie przynosiło jej to ulgę, bowiem nie miała czasu zastanawiać się nad tym, co mówi Ryan. - Myślę, że przyjechałeś tutaj pewien, że zastaniesz mnie w habicie. - Rzuciła mu gniewne spojrzenie. - Ty po prostu nie możesz pogodzić się z faktem, że daliśmy sobie radę bez ciebie, że jesteśmy dobrzy, że mamy świetne opinie i coraz poważniejsze zamówienia. A to wszystko osiągnęliśmy bez twojej pomocy.

Zmrużył oczy i spojrzał na nią.

- Wiem, że jesteś dobra. Jeśli sobie przypominasz, to ja nauczyłem cię wszystkiego.

Lindsay zaczerwieniła się. Odwróciła się wściekła i ruszyła w stronę drzwi, nie mogąc powstrzymać naporu wspomnień.

- Najwyższa pora, żebyś sobie poszedł, Ryanie. Jak na pierwszą wizytę jesteś tu stanowczo za długo.

Poszła do kuchni i zajęła się opróżnianiem maszyny do mycia naczyń. Po chwili zorientowała się, że Ryan

stoi tuż za nią, oparty o framugę. Kończyła sprzątanie, nie zwracając na niego uwagi.

- Proponuję zawieszenie broni, Lin. Nie po to tu przyszedłem, żeby się z tobą kłócić.

- Czyżby? - Trzasnęła głośno klapą maszyny do zmywania naczyń. - Dążysz do kłótni od chwili, gdy zjawiłeś się w Bostonie. Mylisz się, jeśli sądzisz, że pozwolę ci wyładować się na mnie.

Przez moment miała wrażenie, że Ryan wybuchnie. On jednak parsknął śmiechem.

- Masz rację, chciałem sobie ulżyć i mieć to za sobą. Ale trudno pogodzić mi się z faktem, że nie jestem już częścią twego życia.

Ta nagła kapitulacja zaskoczyła ją. Patrzyła na niego podejrzliwie, lecz po chwili śmiechnęła się zapominając o złości.

- Zdaję sobie sprawę - odparła spokojnie. - Ale do licha, Rynie, nie możesz wrócić do mojego życia tak, jakby nic się nie stało. Nie możesz się ze mną kochać tak, jakbyś nigdy mnie nie porzucił i nie możesz mnie wciągać w rozgrywkę z Jeffem, której zupełnie nie rozumiem. - Patrzyła mu prosto w oczy. - To nie takie proste. Nie przekreślisz tych trzech lat tylko dlatego, że tak bardzo chciałbyś o nich zapomnieć.

Pokiwał smutno głową.

- Tak, wiem. - Westchnął. - Więc jak? Pokój?

Spojrzała na niego. Wiedziała, że to byłoby zbyt łatwe, że powinna wyrzucić go stąd bez chwili wahania - jednak zdawała sobie sprawę, że i tak nie mogłaby o nim zapomnieć.

- Pokój - odpowiedziała wreszcie z uśmiechem. - Ty zawsze potrafiłeś okręcić mnie wokół małego palca.

- Próbowałem - poprawił ją. - Ale ty byłaś twarda, stawiałaś opór.

Patrzyli się na siebie przez moment. Domyśliła się, że Ryan myśli o Rio.

- Byliśmy skrajnie różni. - Przekomarzała się.
- Tworzyliśmy zgraną parę.

- I nadal tak jest - odparł szybko. - Mamy jeszcze czas, możesz poprosić, bym tu dziś został.

To takie proste, myślała Lindsay. Nie będziesz nawet musiała tego mówić głośno. On wyczyta wszystko z twoich oczu. Wystarczy, byś była blisko, kiedy wyciągnie do ciebie rękę.

Spuściła wzrok.

- Jest o trzy lata za późno, Ryane.

Oderwał się od framugi z głośnym westchnieniem. Odprowadziła go do drzwi, podając bez słowa kurtkę. Wyciągnął po nią rękę i objął Lindsay.

- Kolacja była wspaniała - szepnęła, muskając ją delikatnie ustami. - Czy są jakieś szanse, byś zmieniła zdanie na temat deseru?

Zapach jego wody kolońskiej był obezwładniający, a szorstkość policzka bardzo podniecająca.

- Żadnych. Uciekaj już.

Jego oczy błysnęły przekornie, a usta rozchyliły w zawadiackim uśmiechu.

- Trzeba być pozbawioną serca dziewczyną, Lindsay Forrest, by wyrzucać mnie w środku nocy na takie zimno.

- Przyda ci się trochę ochłody - odparła zdecydowanie. - Dobranoc.

Zamknęła drzwi, nie bacząc na jego protesty i przez chwilę stała tak w mroku, po czym westchnęła głęboko i poszła do salonu po kieliszek brandy.

Mieszkanie było teraz takie puste. Bach ustąpił

Beethovenowi, pojedyncze dźwięki Sonaty Księżycowej wypełniły ciszę. Lindsay opadła na krzesło, zrzuciła buty i podciągnęła nogi. Odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy. Czuła, jak całe napięcie ustępuje pod wpływem rozgrzewającej brandy.

Powinnaś wiedzieć, usłyszała wewnętrzny głos. Powinnaś wiedzieć, że Ryan nie zna połowicznych rozwiązań. Ten typ człowieka nie godzi się na kompromisy. W żadnym przypadku. Byliście kiedyś kochankami, więc nie zaakceptuje innego układu. Jednak tym razem będzie inaczej, zdecydowała.

Było już prawie pół do dziesiątej wieczorem następnego dnia gdy ktoś zapukał do drzwi. Stała niezdecydowana, co począć. Ryan nie przyszedłby tu przecież, nie zapowiadając się wcześniej.

Pukanie do drzwi powtórzyło się.

- Lin, to ja, Jeff.

- Jeff! - Odetchnęła z ulgą. Otworzyła szeroko drzwi. - Gdzieś ty się podziewał?

Minał ją bez słowa i wszedł do środka. Ruszyła za nim i patrzyła jak nalewa sobie setkę burbona i wypija do dna jednym haustem. Napełnił szklanke ponownie, wziął butelkę i usadowił się wygodnie w fotelu.

- Przez chwilę miałem wrażenie, że faktycznie cię to obchodzi.

- Oczywiście, że obchodzi. Wyjechałeś do Nowego Jorku w piątek, dzisiaj jest wtorek, a ty nawet nie dałeś znaku... - Przyjrzała mu się uważnie. - Jeff, dobrze się czujesz?

Był blady i zmęczony, miał potargane włosy, a ręce najwyraźniej mu się trzęsły. Rozglądał się nerwowo

po pokoju, co jakiś czas rzucając jej przelotne spojrzenie.

- Wróciłem właśnie z Miami - poinformował chrapliwym głosem. - Sprawdzałem tam pewną robotę.

- Miami? Jeff, mamy wystarczająco dużo pracy w...

- Nie mówię o zamówieniu, ale o normalnej, stałej pracy.

Lindsay była zbyt zaskoczona, by cokolwiek powiedzieć.

- Chcę, żebyś ze mną pojechała. - Wstał i poprawił włosy. - Jest tam firma budowlana. Zapewnią nam świetlaną przyszłość. Zajmują się wszystkim kurortami, domkami i hotelami. To życiowa szansa. Wszystko jest już załatwione, wystarczy się tam zjawić, a mamy od razu robotę. Na bardzo dobrych warunkach.

- Jeff, czy ty zwariowałeś? Przecież *Webster i Forrest* staje się tym, o czym zawsze marzyliśmy. Trzeba być szalonym, żeby to wszystko teraz rzucić...

- *Webster i Forrest* jest skończone.

Lindsay poczuła przejmujący chłód.

- Jak to? - Zmrużyła oczy. - Jeff, co jest grane? Czy wpakowałeś się w jakieś kłopoty?

- Lin, wiem, że nic z tego nie rozumiesz, ale musisz mi zaufać. - Przygotowując sobie następnego drinka, wylał część alkoholu na siebie. Zaklął pod nosem. - Ty jeszcze o wielu rzeczach nie wiesz. Uwierz mi po prostu, że tak musi być, nie ma innego wyjścia.

- Jakiego wyjścia? Z czego? - pytała coraz bardziej zaniepokojona. - Jeff, masz mi natychmiast wszystko wyjaśnić!

- Boże, Lindsay! - Roześmiał się dziwnie. - Czy ty naprawdę niczego się nie domyślasz? Czy sądzisz, że

Ryan McCrea wrócił tu tylko dlatego, że chciał zmienić klimat?

Lindsay usiadła przypatrując mu się z uwagą.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że on przyjechał nas wykończyć. - Jeff miotał się po pokoju, sprawiał wrażenie przestraszonego. - Powinienem być wiedzieć, że on tu wróci i nie zrezygnuje tak łatwo.

- Z czego? - wyszeptała.

- Z firmy. - Zwilżył usta i spojrzał na nią.

- I z ciebie.

- Ze mnie? A cóż ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Jemu nie chodzi tylko o firmę, Lindsay. On chce mieć wszystko. Firmę, mnie i ciebie. - Obejrzał się i uśmiechnął smutno. - Byłaś w tym samym stopniu jego własnością, co ta firma. Miałaś na niego czekać, a nie czekałaś. Natomiast związałaś się ze mną, by zniszczyć wszystko, co on stworzył. Tymczasem Ryan wrócił wyrównać rachunki.

- Mój Boże. Prowadzicie ze sobą te infantylne gry. Czy to właśnie dlatego nakłoniłeś mnie do opuszczenia tamtej firmy? Czy tylko tyle dla ciebie znaczę? Jeszcze jedna własność Ryana?

- To nie takie proste. - Spojrzał na nią dziwnie.

- Rzeczywiście, nie.

Nagle przypomniała sobie o Atrium.

Spędziła praktycznie cały dzień, studiując dokumentację. Stos papierów - kontraktów, szkiców, projektów, autoryzacji, raportów inspektorów i wszystkich innych świstków, które stanowiły o randze tego projektu. Jednak czegoś brakowało. Wydawać by się mogło, że Atrium gotowe sfrunęło na biurko

Jeffa. Żadnych wstępnych szkiców, żadnych błędów, żadnych rysunków.

Coś, co Ryan powiedział o Atrium, o Jeffie, sprawiło, że rozpoczęła dzisiejsze dochodzenie.

Zamknęła na chwilę oczy, marząc o tym, by Ryan zostawił ją w spokoju i nie budził nowych wątpliwości. Jeff był przecież dobrym architektem, chociaż może nie tak genialnym, jak Ryan. Natomiast Atrium było genialne...

Spojrzała na Jeffa. Chciałaby móc puścić wszystko w niepamięć. Ale słowa raz wypowiedziane zaczynają żyć własnym życiem.

- Chodzi o Atrium, prawda? - spytała wreszcie.

Znieruchomiał. Słysząc było, jak przełyka ślinę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Atrium jest projektem Ryana, nie twoim. - Zapadła głucha cisza. - Zrobił wstępne rysunki dla *Concorde Insurance* cztery lata temu. Zrezygnował z zamówienia, więc odłożył to na bok. Rok później rysunki zobaczyły światło dzienne już jako wielokrotnie nagradzane Atrium, tyle tylko, że firmowane twoim nazwiskiem.

Przez chwilę miała nadzieję, że Jeff zaprzeczy. On jednak opadł na krzesło wyczerpany i załamany. Oparł łokcie na kolanach i bawił się szklanką.

- Nie sądziłem, że będzie mu na tym zależało - szepnął. - Nie chciałem tego zrobić, Lin. Przysięgam. Ale pamiętasz moją sytuację sprzed paru lat. Odrzucali wszystkie moje projekty. Bałem się, że jeśli nie wymyślę czegoś dobrego, to stracimy zamówienia. - Zacisnął mocno palce na szklance. - Po wyjeździe Ryana przewertowałem jego papiery. Nie chciałem niczego ukraść... szukałem pomysłu. Znalazłem rysunki, które

zrobił dla *Concorde*. Wyrzucił je tak jakby były nieważne, jak strzepuje się okruchy chleba z obrusa. - wpatrywał się w szklankę. - Mówiłem sobie, że potrzebuję tylko wskazówek, które mógłbym wykorzystać w swoim projekcie. Potem, jak zwykle, brakowało mi czasu! Gdzie się człowiek nie obejrzał, tylko terminy i ponaglenia. Im bardziej się starałem, tym trudniej było nadażyć. Czułem, jak wszystko rozłazi mi się między palcami....

Lindsay obserwowała go, przypominając sobie czasy, gdy Jeff faktycznie biegał z obłądem w oczach.

- Powinieneś być mi o tym powiedzieć - szepnęła bardziej do siebie niż do niego. - Mogłam ci jakoś pomóc...

- Nie chciałem twojej pomocy. - Gwałtownie podniósł na nią wzrok. - Przecież to ja namówiłem cię, żebyś opuściła *McCrea i Spółkę*, bałem się, że wszystko przepadnie, że będziesz... - Odwrócił się i głęboko oddetchnął. - Ryanowi wszystko zawsze przychodziło tak łatwo, podczas gdy ja musiałem się nieźle napocić, by cokolwiek osiągnąć. Chciałem, żebyś chociaż raz spojrzała na mnie tak, jak patrzyłaś na niego.

Zapadło milczenie. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Zrozum, Lindsay, on z tego zrezynował. Uznał, że już nic więcej nie można dla tego projektu zrobić, więc przestał się nim interesować. Odsunął to wszystko gdzieś na bok tak, jak odsunął ciebie i firmę.

- Podpisałeś się więc swym nazwiskiem, nie bacząc na konsekwencje tego faktu? - spytała zdenerwowana.

Wzruszył ramionami.

- Coś w tym stylu. Ot głupi błąd, Lin, i tyle. Każdy popełnia błędy nawet sławny Ryan McCrea.

- Jeff, to coś więcej niż błąd. - Lindsay potarła zmęczone oczy. Głowa pękała jej z bólu.

- Znów cię przekabacił, prawda? - Jeff nalał sobie następnego drinka. - Powinienem być się domyślić, że on tu był...

- Nie jestem po żadnej stronie.

- Byłaś po jego stronie już w pięć minut od momentu jego pojawienia się - odparł beznamiętnie.

- Nie wystarczyło mu, że wygrał - musiał mi jeszcze ciebie odebrać.

- Nigdy nie należałam do żadnego z was - zachnęła się Lindsay.

- To pojedź ze mną. On wrócił tutaj, by walczyć i nie podda się tak łatwo. - Spojrzał na nią błagalnie.

- Jedź ze mną. Możemy zacząć wszystko od nowa. Możemy...

- Nie!

Spojrzał na nią uważnie i roześmiał się ironicznie.

- Ty go nadal kochasz, prawda?

- Nie pleć bzdur - zaprzeczyła. - Ryan nie ma z tym nic wspólnego. Włożyłam zbyt dużo pracy w tę firmę, a także w swoją karierę, żeby teraz wszystko porzucić i zająć się projektowaniem jakichś obskurnych domków na Florydzie, które znikną z powierzchni ziemi przy najbliższym huraganie.

- Jak zwykle idealistka. - Dopił jednym haustem burbona i odstawił szklanę. Ruszył w stronę przedpokoju. - Któregoś dnia odkryjesz, że w życiu nie wszystko układa się wedle twojej woli, czasami trzeba pójść na kompromis.

- Ci, którzy idą po linii najmniejszego oporu dostają to, na co zasługują - skomentowała.

Otworzył drzwi i obejrzał się na nią.

- Robiłem to wszystko dla ciebie. Chciałem tylko, żebyś była ze mnie dumna, to wszystko.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zniknął za drzwiami.

Kiedy dwa dni później wychodziła z windy w Lexington Tower, nadal myślała o Jeffie. Nie przychodził do pracy, nie odbierał telefonów w domu. Z pewnością nie stało się nic złego, tłumaczyła sobie, idąc korytarzem do biura. Był po prostu zmęczony i podenerwowany tamtego wieczoru. Wziął parę wolnych dni, żeby wszystko przemyśleć.

Otwierała właśnie drzwi, kiedy dotarł do niej wybuch głośnego śmiechu. To był śmiech Ryana i najwyraźniej dobiegał z biura. Cholera! Zatrzymała się rozważając przez chwilę, czy nie powinna wycofać się, zanim zostanie zauważona.

Nie widziała go od poniedziałku, a mimo to myśl o nim nie opuszczała jej. Wiedziała, że on czeka, lecz nie potrafiła przejrzyć jego zamiarów.

Zachowujesz się jak idiotka, zganiła się, poprawiając zwój rysunków pod pachą i zdecydowanym krokiem weszła do środka, po czym, umyślnie ignorując Ryana, rzuciła papiery i neseser na stół.

- Marg, czy Jeff się zgłaszał ?

- Jeszcze nie, dzwoniłam parę razy do domu, ale nikt tam nie odpowiadał.

Czyżby znowu udał się na poszukiwanie pracy? - zastanawiała się lekko zirytowana. Nie można powiedzieć, by poświęcił zbyt dużo czasu poprzedniej. Zaniepokoiła ją własna niechęć. Przecież to była nie tylko wina Jeffa. Zarówno jego jak i jej kariera zależała w tej chwili od Ryana.

- Dzwonili z *Sutter Engineering*. - Marg podsunęła notatki z telefonami. - Znaleli jakiś błąd w projekcie Jeffa. Nie podał dokładnych danych dotyczących wentylacji w suficie na trzecim piętrze, gdzie ma być centrum komputerowe.

- Zauważyłam to przed kilkoma tygodniami. Sądziłam, że Jeff już dawno odesłał im poprawione szkice. - Czuła na sobie rozbawiony wzrok Ryana. Powiedz chociaż słowo, pomyślała, a wezwę służby porządkowe.

- Oni twierdzą co innego. Budowa ma się niedługo rozpocząć, więc Sutter czuwa nad terminami.

- Zadzwonię do nich. - Dopiero teraz spojrzała na Ryana.

Stał oparty o okno, zupełnie zrelaksowany.

Denerwowało ją, że czuje się tak swobodnie w jej biurze. Tamten Ryan nigdy nie pozwalał sobie na takie zachowanie. Natomiast ten nowy, wsparty o ścianę lub mebel, przybierał pozę człowieka zadowolonego i pewnego siebie.

- Tropisz konkurencję czy też jest to wizyta towarzyska?

- Interesy.

Spojrzała na niego sceptycznie.

- Bądź tak miły i streszczaj się. Przez cały dzień borykam się z kłopotami, więc nie mam zbyt dużo czasu na pogawędki.

- Czy nie za chłodne powitanie jak na przyszłego partnera, panno Forrest? Myślałem raczej o koktajlu bądź obiedzie.

- Zapewne. - Spojrzała na niego obojętnie. Rzuciła zakiet na krzesło i podeszła do biurka. - A cóż to za interes?

Uśmiechnął się ze zniewalającym spokojem.

- Biorąc pod uwagę twój rozkład zajęć, jeśli chciałbym cię jeszcze widywać, to muszę być użyteczny.

- Rozumiem. - Usiadła na krześle, zakładając noga na nogę. - Ciekawe, w jaki sposób chcesz to zrobić?

- Wynajmę się jako specjalista terenowy.

- Staram się nie korzystać z kontraktowych talentów - uśmiechnęła się zimno. - To zazwyczaj same kłopoty.

- Tym razem powinnaś zrobić wyjątek - powiedział tajemniczo Ryan.

Lindsay zmrużyła oczy i przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał i zachowywał się jakoś inaczej. Było w nim coś z dawnego Ryana, z jego determinacji, bezkompromisowego dążenia do celu.

Po części sprawił to świetnie skrojony granatowy garnitur, jasnoniebieska jedwabna koszula, szaroniebieski krawat ozdobiony złotą spinką. Nawet włosy wyglądały inaczej, znać było wprawna rękę dobrego fryzjera.

Usiadła prosto, biorąc do ręki plik dokumentów.

- Posłuchaj, Ryane. Nie jestem w nastroju do zabawy, przejdźmy do konkretów. Co jest powodem twojej dzisiejszej wizyty?

Jej chłód został zauważony. Ryan zatrzymał się na chwilę i obrzucił ją baczny spojrzeniem. Lindsay znieruchomiała na moment.

Podszedł w jej stronę, wyjął coś z kieszeni i rzucił obojętnie na biurko.

Zorientowawszy się, że Ryan nie zamierza podchodzić bliżej, poczuła wściekłość, że tak łatwo pozwoliła mu wyprowadzić się z równowagi. Dopiero po chwili wzięła spoczywający na biurku kamień.

- To z domu Antona Borowca. - Spojrzała na niego podejrzliwie. - Byłeś tam?

- Pudło - odparł niezmiernie z siebie zadowolony. Nadal nie przekonana podniosła kamień do światła.

- Skąd go masz?

- Pojedź ze mną, to ci pokażę.

- Dzisiaj to niemożliwe. - Zacisnęła dłoń. - Powiedz mi, gdzie go znalazłeś, a ja...

Pokręcił wolno głową.

- Jestem człowiekiem interesu, panno Forrest. Biznesmen o zdrowych zmysłach nie sprzedaje tajemnicy, dopóki nie dostanie czegoś w zamian.

W zielonych oczach Lindsay pojawiły się niebezpieczne błyski.

- Co masz na myśli? - spytała spokojnie.

Potarł brodę palcami i zmrużył oczy.

- Spędź jutrzejsze popołudnie ze mną. Potem jakiś obiad, dancing...

- Nie mam zwyczaju umawiać się z pracownikami, panie McCrea - odparła chłodno. - A jeśli chce pan zająć mój cenny czas, proszę pamiętać, że i u mnie nie ma nic za darmo.

Przytaknął ze zrozumieniem.

- W porządku. Jako że ma to być obiad służbowy, w zamian udzieli ci fachowej porady i ureguluję rachunek.

- A jaką mam gwarancję, że nie wzięłeś tego kamyka od Borowca?

- Zaufaj mi - odparł, uśmiechając się tajemniczo.

Lindsay bawiła się kamykiem jeszcze przez chwilę. Przyznaj, mówiła do siebie śmiejąc się w duchu. Zjadłabyś obiad z samym diabłem, by zdobyć te kamienie. A spotkanie z Ryanem to właśnie coś w tym stylu.

- W porządku - wycodziła przez zęby. - Wygrałeś. Jutro po południu.

- W porządku - odpowiedział, śmiejąc się zwycięsko.

- Jeśli nie masz już więcej pytań, pozwól, że wrócę do swych zajęć. Mam dużo pracy.

- Co robisz dziś wieczorem? - Oparł się o biurko, przeglądając jej pocztę.

- Wychodzę - odparła, wyjmując mu koperty z ręki.

- Randka? - Nie zwracając na nią uwagi, sięgnął po jakąś teczkę.

- To już doprawdy nie powinno cię interesować, mój panie. - Wyjęła mu ją spokojnie z rąk. - Będę pracować, a im szybciej stąd wyjdiesz, tym prędzej będę mogła wrócić do swych zajęć.

- To obowiązki, a przyjemności?

- Walczymy o najlepsze od lat zamówienie prywatnych zlecniodawców - odparła szybko. - Usiłuję do jutra rana nadać ostatni szlif naszej ofercie dla VanKleefa. Czy pozwolisz więc...?

- VanKleef, ten przemysłowiec? - zareagował nagle.

- Składacie ofertę na tę galerię?

- Zgadza się - starała się, żeby jej głos nie zdradzał żadnych emocji. - Mówiłam ci, że mamy teraz do czynienia z grubymi rybami.

Ryan pokręcił głową mocno niezadowolony.

- Gdzie się jutro spotkamy?

- Słucham? - spojrzał na nią nieprzytomnie.

- Jutro. Gdzie mamy się ...

- Po południu, u ciebie w domu - odpowiedział zamyślony, opuszczając biurko.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Rozumiem, że nie masz zamiaru powiedzieć mi, dokąd jedziemy.

Ryan zjawił się punktualnie o dwunastej. Wsiędli do samochodu i pomknęli na północ, w stronę Salem i Cape Ann. Przez całą drogę usiłowała dowiedzieć się, dokąd jadą. Ryan milczał, uśmiechając się tajemniczo.

- Zaufaj mi - odparł.

- Mam wrażenie, że gdzieś to już słyszałam - odparła uszczypliwie.

- Gdy ostatni raz prosiłem cię, byś mi zaufała - mruknął - byliśmy...

- Nie ma sensu zagłębiać się w szczegóły - przerwała szybko, nie patrząc w jego stronę. Wspomnienie pieścizot, dotyku i szeptu z pamiętnego wieczoru w Cape Cod powracało do niej uparcie.

Czuła, że Ryan śmieje się z niej w duchu. Była wściekła na siebie i na niego za tę wycieczkę w przeszłość.

Westchnęła głęboko. Wysunęła stopy z białych espadrili i wyciągnęła się wygodnie w fotelu. Ryan spojrział z uznaniem na długie opalone nogi. Kolejny błąd, pomyślała Lindsay. Powinna konsekwentnie dbać, by ich znajomość miała jedynie charakter służbowy. Niestety szorty w kolorze khaki i wzorzysta koszulka zupełnie do tego obrazu nie pasowały. Upał indiańskiego lata, myśl o wolnym dniu, spędzonym

z dała od miasta, wszystko to spowodowało, że poczuła się zbyt swobodnie i natychmiast zaczęła czynić sobie z tego powodu wyrzuty.

Po długiej chwili zorientowała się, że samochód zwalnia. Spojrzała pytająco na Ryna, widząc, że skręcają w boczną, piaszczystą drogę. Sportowy wóz z gracją pokonywał dołki i wzniesienia wiejskiej dróżki. Ryan zatrzymał samochód w cieniu wielkiego wiązu i wyłączył silnik.

- Dalej nie przejedziemy, musimy iść pieszo.

Spojrzała na niego zdziwiona, ale dowódca wyprawy milczał. Wiedziała, że Ryan doskonale się bawi i nie zamierza powiedzieć nawet słowa, póki nie znajdą się na miejscu.

Założyła więc buty i pospiesznie wysiadła z samochodu. Głęboko oddetchnęła świeżym, wiejskim powietrzem. Drzewa na pobliskich wzgórzach mieniły się jesiennymi barwami. Lindsay czuła, jak promienie słońca delikatnie masują jej ramiona.

Nagle przypomniała sobie o obecności Ryana. Stał opodal, oparty o szare maserati, przyglądając się jej z uśmiechem. Długie, opalone nogi, białe szorty i wypoczęta twarz sprawiały, że wyglądał, jakby właśnie zszedł z wimbledońskich kortów. Było jednak w jego zamyślonych oczach coś, co wprawiało ją w zakłopotanie.

Wsunęła ręce do kieszeni i zwróciła się ku niemu.

- Gdzie my jesteśmy?

- W drodze do miejsca zwanego przez mieszkańców Kaprysem Felduna. Ale dzieli nas od niego jeszcze spory kawałek.

- A jaki związek ze mną ma Kaprys Felduna?

- Szła za nim, dotrzymując kroku.

- George Feldun był bostońskim biznesmenem. Pod koniec 1880 roku owdowiał. Miał wtedy pięćdziesiąt parę lat i świetnie prosperujący interes. Dopóki się nie zakochał, uważano go za uczciwego obywatela.

- Ryan spojrział na nią znacząco. - I jak to często bywa, rozsądny, zdawałoby się, mężczyzna, tracąc zdolność jasnego widzenia, zamienił się w kompletnego głupca.

- Samo życie - stwierdziła Lindsay. - Ale cóż takiego przydarzyło się panu Feldunowi, że musieliśmy tutaj przyjechać?

- Był, delikatnie mówiąc, zauroczony swoją nową panią. Ona była młoda, piękna i... zepsuta. Zażądała, by przeprowadzili się na wieś. George sprzedał akcje i dom w mieście. Zainwestował wszystko w wybudowanie najwspanialszego domu pod słońcem. Projekt i budowa zajęły dwa lata, George o mały włos nie zbankrutował. Spędzał cały swój czas, doglądając tego przedsięwzięcia w najdrobniejszych szczegółach. Chciał mieć pewność, że dom będzie bez zarzutu. Potem, na tydzień przed ślubem, jego pani wyjechała do San Francisco z młodym mężczyzną, którego poznała wtedy, gdy George'a pochłaniała budowa.

- Biedny pan Feldun - bąknęła Lindsay, nie patrząc na Ryana. - Ktoś powinien był mu wytłumaczyć, że miłość to coś więcej niż słowa. - Poczowała na sobie wzrok Ryana. Do licha, znów nie może się powstrzymać od uszczypliwości. Robi to zupełnie bezwiednie.

- Może oczekiwała od niego więcej, niż mógł jej dać - zastanawiał się Ryan. - Przecież był tylko człowiekiem, jak każdy z nas.

- A czy pogodził się ze stratą, czy też ośmieszał się próbując ją odzyskać? - spytała niewinnie.

- Wiesz - odparł szybko - kiedyś uważałem, że do mężczyzn, którzy biją kobiety, należy strzelać. Dzisiaj mam wątpliwości.

- Nie radziłabym dzielić się nimi ze mną - powiedziała słodko, odsuwając się od niego o parę kroków.

- Przekonasz się, że nie tak łatwo zastraszyć nową Lindsay Forrest.

- Czyżby zmiana była tak wielka?

Nie podobał się jej kierunek, jaki zaczęła przybierać rozmowa. Przyspieszyła kroku i spytała:

- A George?

Ryan uśmiechnął się.

- W dwa tygodnie po jej wyjeździe dom się spalił. Jedni twierdzą, że z Georgem w środku, inni, że wyjechał gdzieś, by się ukryć. W każdym razie wszelki śluch po nim zaginął. Ziemię przejął ktoś inny, dziś należy do grupy salemskich biznesmenów.

- Nadal nie rozumiem, co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Zobaczysz.

Lindsay poskromiła swoją ciekawość, wiedząc, że nic nie osiągnie przed czasem. Szli w milczeniu, które coraz bardziej uświadamiało jej obecność Ryana.

- A jak wypadło twoje spotkanie z VanKleefem? - wziął ją nagle za rękę. - Bardzo się z nim liczą w mieście. Ktokolwiek zdobędzie zamówienie na jego galerię, zyska sporo punktów na liście rankingowej.

- Sądzę, że całkiem dobrze - odpowiedziała z uśmiechem. - Ale nie chcę niczego zapeszyć. Mamy poważną konkurencję.

- Twoje projekty rezydencji Mendezów i Westlaków

to kawał dobrej roboty. Czyżbyś chciała ostatecznie oderwać się od obiektów biurowych?

- Zdecydowanie tak - westchnęła, bardziej do siebie, niż do niego.

- Cóż to? - drażył. - Czyżby, w odróżnieniu od Jeffa, ciebie nie bawił widok własnego nazwiska na niemal każdej ulicy Bostonu?

- Powiedzmy, że lubię mieć wszystko pod kontrolą, pracować bezpośrednio ze swoim klientem, a nie użerać z radą nadzorczą, inżynierami czy innymi specjalistami. Wolę sama chodzić po budowie, niż siedzieć nad stertą wielotomowych raportów inspektorów i wszelakiej maści urzędników. - Roześmiała się. - Kiedy robiłam zamówienie Lexingtona, pojawił się problem... wykładziny dywanowej. Któregoś dnia, w moim biurze, sześciu speców skakało sobie o to do gardła. Trzy tygodnie zabrało mi przekonanie rady nadzorczej, że należy wyrzucić tę piekielną wykładzinę i zastąpić ją inną. - Zniecierpliwiona, pokręciła głową. - A w trzy tygodnie to ja mogę wykończyć cały dom.

Ryan uśmiechnął się i mocniej ścisnął jej dłoń.

- Nie wiem, czy uwierzysz, ale uważałam, że życie architekta składa się jedynie z przyjęć i temu podobnych imprez. Nie zdawałam sobie sprawy, że będę musiała grać rolę rozjemcy między skretyniałymi specjalistami, niezadowolonymi klientami i całą resztą. Czasami mam wrażenie, że jestem korespondentem wojennym, a nie architektem.

- Ale uwielbiasz to - odparł Ryan. - Może wreszcie zdecydujesz się pracować dla mnie. Mam już czterech wspaniałych ludzi, z tym że specjalizują się w biurowcach. Potrzebuję kogoś, kto wie, jak zabrać się do rezydencji. Kogoś z twoim doświadczeniem i renomą.

Spojrzała na niego.

- Czy ty nigdy się nie poddajesz?

- Tylko dopóki nie osiągnę tego, do czego dążę.

- Spojrzał na nią znacząco. - Powinnaś już o tym wiedzieć, Lindsay.

- A ty powinieneś wiedzieć, że nie można mieć wszystkiego. Poza tym mam już dobrą pracę - starała się tłumaczyć. Spozrzegła, że Ryan wyczuł złość w jej głosie.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytał.

- Nie bardzo. .

Nie zmuszał jej. Pokiwał jedynie głową, trzymając ją mocno za rękę.

- Chodzi o Jeffa - odezwała się po chwili, nie patrząc na niego.

- Jakieś kłopoty?

- Nie wiem - westchnęła głęboko. - Nie widziałam go już od wtorku i trochę się martwię. Nie pokazuje się w pracy, nie odpowiada na telefony.

- Webster zawsze wiedział, jak dbać o własne interesy - powiedział chłodno Ryan.

- Namawia mnie, bym wyjechała z nim do Miami.

- Powiedziała, zanim zdążyła pomyśleć. Czuła na sobie uważne spojrzenie Ryana.

Ścisnął mocno jej dłoń, po czym spytał:

- Dlaczego cię namawia?

- Doskonale wiesz - nie chciała spojrzeć mu w oczy.

- To przez ciebie. On jest przerażony.

Nie odpowiedział. Gdy wreszcie podniosła na niego wzrok, ujrzała, że stoi zapatrzony w dal. Nie potrafiła nic wyczytać z jego twarzy.

- Pojedziesz z nim?

- Nie.

- A co zamierzasz robić? - Spojrzał na nią.

- Jeszcze nie wiem - odparła tajemniczo. - Mam mnóstwo możliwości. Mogę go namówić, by został w Bostonie. Mogę wykupić jego udziały albo sprzedać mu swoje i wyjechać.

- Mogłabyś też rzucić to wszystko w cholerę i wyjść za mnie za mąż - powiedział spokojnie, patrząc przed siebie tak, jakby to linia horyzontu najbardziej go fascynowała.

- Oświadczyń?

- A przyjąłabyś je? - odwrócił się do niej nagle.

Spuściła oczy. Gdy już nabrała pewności, że głos - jej nie zadrży, odparła obojętnie:

- Spóźniłeś się o trzy lata.

Ryan milczał, zapatrzony w niebo.

- Na cóż ci problemy Webstera? - powiedział krótko. - Wyświadczy ci przysługę, jeśli zniknie.

- Tak jak ty? - odparowała. - Zaczynam się już przyzwyczajać do tego, że wszyscy mnie opuszczają w najmniej spodziewanym momencie.

Odsunął się, jakby w obawie przed ciosem i pokiwał głową.

- Chyba mi się należało.

- Nie - szepnęła. - Przepraszam bardzo. - Odeszła w bok, zerwała przydrożną stokrotkę i bawiła się nią przez chwilę. - Wiem już wszystko o Atrium. - Zachowywał się tak cicho, że aż obejrzała się, by sprawdzić, czy ją usłyszał. Stał spokojnie i obserwował ją w zamyśleniu. - To był twój projekt. Jeff ci go ukradł.

- Pożyczył, to chyba lepsze określenie - powiedział z przekąsem.

- Ukradł - powtórzyła wyraźnie, jakby tym spo-

sobem zamierzała załagodzić znaczenie tego słowa. Wyrzuciła kwiatek i zaatakowała go z furją.

- Musze przyznać, że gdy zobaczyłem zdjęcie Jeffa przy makiecie nagrodzonego projektu - mojego projektu - byłem gotów spakować się w pięć minut, wrócić i zaskarżyć go do sądu. Ale potem uświadomiłem sobie, że nie mogę łobuzowi nic zrobić, bo musiałbym skrzywdzić ciebie. Nawet gdybym znalazł jakiś dowód, że nie masz z tym nic wspólnego, ten skandal mógłby zniszczyć twoją karierę. A znaczysz dla mnie więcej niż setki Atriów czy setki Jeffów Websterów.

Przyglądała mu się uważnie.

- A teraz? - spytała cicho. - Nie jest jeszcze za późno. Nie musisz nawet iść do sądu. Wystarczy szepnąć parę słów tu i tam, a on będzie zrujnowany.

Spojrzał na nią wściekły i zaskoczony. Poczwała dziwny dreszcz na plecach.

- To całkiem interesujące rozwiązanie - odparł.

- No tak - szepnęła, zorientowawszy się, że podświadomie pragnęła, by Ryan zaniechał zemsty. - Czy warto płacić taką cenę? Po tym wszystkim zmieniłeś się nie do poznania. Czasami budzisz we mnie lęk. Boję się nawet myśleć, co stanie się z tobą, gdy zdemaskujesz Jeffa.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie, wiedząc, że jest wściekły. Burknął coś pod nosem, a ona cieszyła się, że tego nie słyszy. Zastanawiała się, czy powodem tej złości jest ona czy Jeff? Zorientowała się jednak, że chyba sam Ryan nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Nagle ścieżka skręciła w lewo, przechodząc w chłodną, zaciemnioną alejkę. Lindsay z przyjemnością skryła się przed słońcem, zagłębiając się w chłód drzew. Po

chwili dostrzegła zgliszcza, resztki tego, co miało być wyzwaniem dla ideału.

Nad ruinami, jakby kpiąc z losu, królował ogromny biały komin, jedyny zachowany symbol kaprysu zakochanego człowieka.

- Biedny George Feldun - powiedziała cicho.

- Chodź tu, chcę ci coś pokazać.

Wskazał pobliską starą szopę, z resztkami drewnianego dachu, kryjącego kamienną konstrukcję.

Kamień!

Lindsay biegła przez łąkę w stronę starej szopy. Ogromna ściana kamienia! Podniosła kawałek i obracała go przez chwilę w palcach.

- Ryan! - zawołała uradowana. Stanęła w rozkroku i mierzyła teren fachowym okiem. - Tego kamienia wystarczy na cały dom... - zorientowała się, że obserwuje ją uśmiechnięty. Zeszła do niego, otrzepując ręce. - No dobrze, jak to znalazłeś?

- Czy o taki kamień ci chodziło?

- Doskonale wiesz, że tak. Wiedziałeś o tym, jeszcze zanim przyniosłeś tę próbkę do mnie do biura. Ale to nieważne, teraz chcę wiedzieć, jak to znalazłeś?

- Zadzwoiłem do starej przyjaciółki, która pracuje w Instytucie i prowadzi jakieś wymyślne badania nad architekturą wiejską Nowej Anglii. Spędziła ostatnie dwa lata na katalogowaniu wszystkich farm, szop i stajni w Massachusetts - musiała rejestrować również materiały budowlane. Ucieszyła się, że cała ta praca na coś się przyda, także i mnie. Dotarliśmy do kopalni, z której pochodziły kamienie domu Borowca. Dalej pozostało już tylko zlokalizowanie innych źródeł tego budulca. Drobnostka. Spędziliśmy parę godzin przy komputerze i okazało się, że ów kamień występuje

jeszcze w paru innych miejscach. To akurat wyglądało na najbardziej obiecujące, więc przyjechałem tu wczoraj. Skontaktowałem się również z właścicielami tej ziemi. Gotowi są ci nawet dopłacić, bylebyś tylko zabrała stąd te kamienie.

- Dziękuję ci, stary przyjacielu. - Wspięła się na palce i ucałowała delikatnie w czoło.

- Może byśmy to powtórzyli? - Objął ją w talii i przyciągnął do siebie. - To zostanie tylko między nami, starymi przyjaciółmi.

- Zawsze potrafiłeś wykorzystać sytuację - zażartowała, ale nie uczyniła żadnego gestu, by się odsunąć, gdy przywarł do niej.

Pocałowała go delikatnie w usta. Ich ciepło i miękkość działały zniewalająco.

Ryan zmarszczył brwi.

- Czy to w ten sposób dziękuje się człowiekowi, który zmarnował trzy dni na szukanie przysłowiowej igły w stogu siana...?

- Szantażysta - szepnęła i przerwała jego utyskiwanie następnym pocałunkiem.

Usta i język Ryana chętnie odpowiedziały. Lindsay ulegle poddała się tej pieszczocie, jedną ręką dotykając jego włosów, a drugą delikatnie przytrzymując policzek. Pocałunek stawał się coraz gorętszy. Ryan wprowadził jej język do swych ust. Napinając mocno mięśnie brzucha, zacisnęła ręce na jego karku. Czuła, że jej ciało chętnie reaguje na dotyk i smak jego skóry.

- Ryaniu, nie... - jęknęła. - Błagam, musimy już wracać.

- Jeszcze chwilę - szepnął. - Jeszcze tylko chwilę...

- Przesunął powoli dłoń w stronę jej ud. Podciągnął ją na swe kolana, wydając cichy jęk. Poczowała niepod-

ważalny dowód jego podniecenia. Zdołała jedynie wyszeptać cicho jego imię, poruszając przy tym rytmicznie i zachęcająco biodrami.

- O Boże, Lindsay - westchnął.

Chciała coś powiedzieć, ale znajome uczucie ciepła i podniecenia obezwładniało ją. Powinna go odepchnąć, nie poddawać się urokowi, który mógł wymazać z pamięci minione trzy lata.

Musi coś powiedzieć, zaprotestować, zanim będzie za późno. Nie mogła pozbierać myśli. Nie było przeszłości, nie było przyszłości -jedynie to rozpalone, emanujące pożądaniem ciało, które czuła pod palcami. Nieposkromiona, instynktowna potrzeba reakcji na odwieczny męski urok.

Zadrzała, gdy jego ręka wsunęła się pod cieniutki materiał majtek. Przywarła do niego, kapitulując w odpowiedzi na dotyk ręki Ryana, obecnej już w owym sekretnym, jedwabście miękkim zakamarku jej ciała. Ryan szeptał coś cicho, a ona jęknęła z rozkoszy.

- Lin, kochanie, nie uciekaj. Ostatnie dni były istną torturą. - Wyjął jej bluzkę z szortów i wsunął pod nią ręce, masując delikatnie plecy.

- Ryan! -jęknęła i rozchyliła usta. Nie jest jeszcze za późno, odezwała się przytomniej szał część jej świadomości, gdy on rozpiął powoli guziki bluzki. Jest jeszcze czas...

Zsunął jej bluzkę z ramion i, całując szyję, rozpiął stanik. Jęknęła cicho, gdy zaczął delikatnie drażnić zębami brodawki. Odrzuciła głowę do tyłu. Gorący dreszcz przeszył jej ciało.

- Och, kochanie - jęknął i nachylił się, całując ją namiętnie.

Odpowiedziała bez zastanowienia. Wyciągnęła mu pospiesznie koszulę ze spodni i szepnęła coś do ucha. Potem rozpięła pasek i suwak, zagłębiając rękę w kędziorach włosów na jego podbrzuszu.

Poczuła, jak wszystkie mięśnie sztywnieją.

- Nie przestawaj teraz, Lin. Dotykaj mnie, obejmij...

To ciche błaganie pobudziło ją do działania.

- O tak, kochanie! - jęknął i przyciągnął ją do siebie.

Zdarł z siebie koszulę, a Lindsay czule objęła jego tors. Nachyliła się i wzięła w usta koniuszek jego brodawki. Czuła, jak szybko twardnieje. Ręka Ryana zajęła się suwakiem jej spodenek, które opadły po chwili na ziemię. Ujął delikatnie jej pośladki.

- Kochanie, minęła wieczność, odkąd mogłem cię tak pieścić. - Całował namiętnie jej ucho. - Chcesz mnie, Lin, wiem, że mnie chcesz.

- Tak - jęknęła i przylgnęła do niego mocno.

- Kochaj mnie, Ryane. Kochaj się ze mną ...

Klęknął przed nią, całując łono i pępek. Potem delikatnie rozsunął jej nogi i zatopił twarz w ich wnętrzu. Lindsay jęknęła z rozkoszy i opadła na niego bezsilnie. Uśmiechnął się i położył ją na ziemi.

- Och, Lin - szepnął, wtulając się w jej szyję.

- Nigdy nie sądziłem, że można tak za kimś tęsknić! Miałem wrażenie, że tak wiele mi ucieka, że część mojego świata zanika gdzieś bezpowrotnie.

Wypełnił sobą każdy centymetr jej miękkiego wnętrza, chcąc wyzwolić tak dobrze znane mu reakcje. Wciąż szeptał jej imię. Kochali się z taką pasją, jakby słońce, zapach traw i wilgoć ziemi zabijały wszelkie wątpliwości. Istniało tylko ich dwoje, zamkniętych we własnych objęciach i rytmicznych ruchach ciał.

Lindsay słyszała gdzieś w oddali swój głos i szept Ryana. Powoli doprowadzał ją do stanu pełnej ekstazy.

- Ryan!

- Chwileczkę - szeptał. - Jeszcze nie teraz. Chcę, żeby to trwało wiecznie... Nie mogę pozwolić ci odejść...

- Ryan! - zaprotestowała słabo, wsuwając się pod niego, ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy. Wiedziała, że jej namiętna reakcja daje mu jeszcze więcej satysfakcji.

- O Boże, Lindsay...!

- Ryan, Ryanie... ja...

- Zróbmy to razem - jęknął przez zaciśnięte zęby.
- Lin... kochanie... TERAZ! - przyciągnął jej biodra mocno do siebie, wchodząc w nią tak, by mogli razem spłonąć w ogniu oślepiającej rozkoszy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przyciągnęła go mocno do siebie, wbijając paznokcie w plecy Ryana. Słyszała jakby z oddali spazm rozkoszy. Potem zapanowało już tylko uczucie całkowitego rozluźnienia.

Szepnął jej coś do ucha i opadł bezsilnie. Poczuła, jak kropelki potu spływają jej po brzuchu.

- O Boże, Lindsay - jęknął starając się złapać oddech. - Jak ja wytrzymałem bez ciebie?

Pocałowała go delikatnie w szyję. Kochała jego męski zapach, dotyk wilgotnej skóry. Wysoko na niebie pojawił się ptak, który leciał tak wolno, że wyglądał jak płakorzeźba w chmurze.

- Jesteś wspaniała jak zawsze - szepnął. - Minęło tyle czasu, a wydaje się, jakby to było dopiero wczoraj...

- Pocałował ją delikatnie. - Uwielbiam się z tobą kochać. Jesteś taka chętna i namiętna, że pragnąłbym, byś nigdy się nie zmieniła.

- Ja też uwielbiam się z tobą kochać - odpowiedziała z uśmiechem. - Czasami mam wrażenie, że za chwilę eksploduję, ale ty jesteś na miejscu, więc czuję się bezpiecznie.

- Jestem tak blisko, bo boję się, że mógłbym cię stracić. Mam wrażenie, że w ostatniej chwili spłoniesz bez reszty.

- Może to twoja miłość tak na mnie wpływa?

- zaśmiała się cicho Lindsay. - Staram się zawsze

przybrać jakąś pozę, ale ty swoimi sztuczkami powodujesz, że tracę zupełnie kontrolę. Staję przed tobą bezbronna i naga.

- I to właśnie w tobie najbardziej mnie urzeka - mruknął. - Po cóż pozy i gorsety - ja chcę, by moje kobiety były dzikie, namiętne i.... sss! - syknął, śmiejąc się, gdy Lindsay wbiła mu swe długie paznokcie w plecy. - Delikatnie, kochanie. Nie chcesz jeszcze chyba uszkodzić tego starego, spracowanego ciała, prawda?

- Spracowanego? - Lindsay zmarszczyła brwi.

- No, parę lat jeszcze pociągnie. Czy nie jestem za ciężki?

- Jeszcze nie. - Delikatnie wytarła mu spoconą twarz. - Ale chyba leżę na fragmencie przyszłego domu Antona Borowca. Będę miała siniak przez parę tygodni.

- To ryzyko, z którym należy się liczyć, poddając się szalonej namiętności, i to na obcym terenie - przekomarał się Ryan, wyjmując spod niej kawałek skałki. Przyglądał się jej przez chwilę. - Wiesz, położę ją sobie na biurku jako pamiątkę pewnej czarownej chwili.

- Proponuję, Tarzanie, byś przerwał tę tyradę, w przeciwnym razie spalisz swą skórę na słońcu - odparła, klepiąc go po pośladku.

- Można na to szybko znaleźć lekarstwo - powiedział, przekręcając się na bok. Uniósł się na jednym łokciu, żeby móc patrzeć na nią z bliska. Zachłannym wzrokiem pożerał każdy szczegół jej smagłego ciała.

Szepnął jej do ucha parę nieparlamentarnych słów i nachylił się, by ją pocałować. Ponownie poddali się przypływowi namiętności, zapominając o otaczającym ich świecie. Jednak po chwili Ryan wrócił do rzeczywistości.

- Mam nadzieję, że nie spieszysz się z powrotem do Bostonu?

- Czy wolno zapytać, co miałeś na myśli?

- Chciałbym nadrobić zaległości, straciliśmy trzy lata, moja pani...

- Chyba nie z mojej winy, prawda? - mruknęła leniwie.

- Nie - powiedział szorstko. - Raczej nie.

Odwrócił się na plecy, a spocone ciało Lindsay owiał chłód. Chciała coś szybko dodać, ale nie mogła wymyślić nic ponad to, co już zostało powiedziane.

Zapadła głucha cisza. Gdy odwróciła się w jego stronę, spostrzegła, że zamyślony wpatruje się w niebo. Westchnęła głęboko i wbiła wzrok w starą szopę - symbol czyjegoś nie spełnionego marzenia.

- Ryan, ja...

Spojrzał na nią bez słowa i nie pozwolił dokończyć zdania, zamykając usta namiętym pocałunkiem.

- Zostańmy tu jeszcze trochę. Proszę o parę godzin, o nic więcej, kochanie.

Nieprawda, myślała Lindsay. Ale było jej teraz zbyt dobrze, by zaprzeczyć. Zresztą gdyby odmówiła, nie przestaliby się kłócić do zmięchu.

- No dobrze - szepnęła, przytulając się do niego.

- Parę godzin.

- Idź powoli. - Ryan uniósł wysoko rękę i zapalił światło. - Jest jeszcze parę nie rozpakowanych kartonów.

- Ten dom sprawia wrażenie, jakbyś stąd nigdy nie wyjeżdżał.

- Agnes Vanderstadt była tu parę tygodni temu i przygotowała wszystko na mój przyjazd. Ja natomiast spędziłem parę ostatnich dni na rozpakowywaniu bagaży.

Lindsay pokiwała głową i weszła do salonu. Agnes - gosposia Ryana - sprzątała z wrodzoną, holenderską skrupulatnością. W powietrzu unosił się zapach pasty do mebli i podłogi.

Na wprost widać było ogromny marmurowy kominek, otoczony półkami na książki, ale setki egzemplarzy znalazły swe miejsce także na pozostałych ścianach - roczniki czasopism architektonicznych, masa oprawionych w skórę podręczników. Nic się nie zmieniło, pomyślała Lindsay, te same ciemne masywne meble, no, może parę nowych dodatków, ale w zasadzie wszystko pozostało na swoim miejscu.

A jednak, gdy minęło parę chwil, spostrzegła nowe akcenty wystroju wnętrza, które zmieniały jego dumny charakter. Nowy dywan - gęsty, wełniany, utkany z wielu kolorów tworzących piękny wzór. Mały kredensik - subtelnie podświetlony, by wyeksponować stojącą na nim kolekcję porcelanowych, orientalnych figurek. Ze ścian spoglądały na nią niewidzące oczy starych afrykańskich masek.

Lindsay wzdrygnęła się. Te wszystkie zmiany przypominały skazy we wzorzystej tkaninie. Oko zwraca się ku temu, co chciałoby się zobaczyć, a nie ku temu, co w rzeczywistości widać. Zirykowało ją to. Rozejrzała się za Ryanem. Stał oparty o framugę i wpatrzony w nią. Dopiero teraz zrozumiała, co musiał czuć, gdy sam odkrył zmiany, których się w jej otoczeniu w ogóle nie spodziewał.

- Dubonnet z lodem i sokiem cytrynowym?
- Tak, bardzo proszę - odpowiedziała zaskoczona.
- Masz dobrą pamięć.

Podszedł do małego rzeźbionego sekretarzyka, nie dbale rzucił marynarkę na krzesło i rozluźnił krawat.

Lindsay zbliżyła się do mosiężnego stołu, na którym leżała kolekcja kamieni i kryształów. Podniosła kawałek bursztynu.

- Nie wiedziałam, że tak bardzo interesujesz się geologią.

- To pamiątki - powiedział cicho i podszedł do stolika. - Bursztyn pochodzi z Litwy, kryształki z Anglii, a oliwin z Nowej Zelandii.

Podał jej szklanę. Lindsay odłożyła bursztyn na miejsce.

- Sztuka afrykańska, południowoamerykańska - zrobił się z ciebie prawdziwy koneser.

Odstawił szklanę na kominek i kucnął przy ogniu.

- Nie jestem już tym samym człowiekiem, Lindsay.

Ani ja tą samą kobietą, pomyślała. Zastanawiała się przez moment, co Ryan chciał przez to powiedzieć? Czyżby to miało być ostrzeżenie?

Dziś, już po raz któryś z kolei, patrzyła na niego uważnie, ciesząc się, że jest tu naprawdę. Ileż to razy marzyła, żeby znaleźć się w jego ramionach, usłyszeć jego śmiech i cichy szept w nocy.

A teraz, gdy sny stały się rzeczywistością, trudno było w nie uwierzyć. Westchnęła głęboko, zrzuciła pantofle i oparła nogi o mały stolik stojący przy sofie. Idiotka, stwierdziła samokrytycznie. Facet wyjeżdża bez pożegnania, nie ma go przez trzy lata, a ja w tydzień po jego powrocie padam mu w ramiona!

Pokręciła głową, oceniając wydarzenia dzisiejszego popołudnia. To wszystko stało się tak szybko - od śmiechu do namiętności - jeszcze do tej pory nie mogła tego pojąć. Stało się i koniec. Uzasadnianie bądź tłumaczenie tego incydentu nie ma w tej chwili najmniejszego sensu.

Trzeba się z tym pogodzić. Być może czas zabił miłość do Ryana, ale nie pożądanie. A wiara w to, że dwoje zakochanych ludzi nie może bez siebie żyć, była jedynie romantycznym marzeniem, które nie wytrzymało konkurencji z rzeczywistością.

- ... pojechać do Cape Cod na weekend? Możemy wynająć domek na plaży, tak jak...

- Nie - odparła szybko. Stracone popołudnie to zupełnie co innego niż cały weekend. - Mam już plany na jutro. Przykro mi.

Pokiwał smutno głową. Dorzucił parę drewno do kominka.

- Lindsay, wiem, że to nie moja sprawa, ale czy masz kogoś? Kogoś, kogo traktujesz poważnie?

Podświadomie spodziewała się tego pytania; była nim raczej rozbawiona, niż zagniewana.

- Nie - powiedziała cicho. - Po twoim wyjeździe byłam tak bardzo zajęta, że nie nadarzyła się ku temu okazja. - Skłamała. Było ich mnóstwo, tyle tylko, że każdego mężczyznę porównywała z Ryanem, co z góry pozbawiało go jakichkolwiek szans.

Pomyślała o profesorze z Harvardu, sprzed dwóch lat. Niemal wmówiła sobie, że go kocha. Do dziś pamięta jego spojrzenie, gdy tłumaczyła mu, że nie może wyjść za niego za mąż i że nie będą się już więcej spotykać.

Odrzuciła wspomnienia i spojrzała na Ryana.

- A ty? - O Boże, skąd takie pytanie, pomyślała.

- Nie musisz odpowiadać - dodała szybko, mając nadzieję, że przyjmie tę propozycję i zmieni temat.

- Jeden raz - uśmiechnął się smutno na samo wspomnienie. Westchnął, dorzucając więcej drewna do ognia. - To było rok temu, w Nowej Zelandii-

Zdecydowałem, że muszę o tobie zapomnieć raz na zawsze. Wmówiłem sobie, że kocham Carlę - urwał, jakby to wspomnienie sprawiało mu ból.

- Rozumiem - powiedziała krótko. Dlaczego to tak zabolalo? Przecież romans faceta, który jest jej już obojętny, nie powinien mieć żadnego znaczenia.

- Poszedłem kiedyś na przyjęcie. Za dużo wypłem i opowiedziałem Carli o rudowłosej architektce, którą zostawiłem w Bostonie. - Ich spojrzenia spotkały się. - Była bardzo miła - powiedziała mi, że jeśli do ciebie nie wrócę, będę największym głupcem pod słońcem. Wyjechała następnego dnia do Hongkongu.

Nie skomentowała tej opowieści. Teraz najważniejsze wydawały się jej plisy szarej koktajlowej sukienki.

- Czy jest jakaś szansa, żebyś zmieniła swoje jutrzejsze plany? - spytał.

Pokręciła głową i odstawiła szklanke.

- Cały jutrzejszy dzień oraz niedzielę spędzam z Angelą Borowiec.

- Boże, czy ty nigdy nie odpoczywasz?

- Sam mnie uczyłeś, że najpierw obowiązki, a dopiero potem przyjemności.

- Stosujesz moje nauki nie wtedy, kiedy trzeba, kochanie. - Spojrzał na nią rozbawiony. - Mam steki i baterię szampana. Możemy spędzić ten weekend tutaj, nadzy i...

- O Boże, Ryan, jesteś niepoprawny!

- Raczej nienasycony - odparł, wstając od kominka. Podeszedł do niej i usiadł obok, jedną ręką delikatnie masując nagie ramię, wystające spod wieczorowej sukienki. - Im częściej cię mam, tym bardziej cię pragnę.

Uśmiechnęła się. Podkurczyła jedną nogę pod siebie i odwróciła w jego stronę, kładąc rękę na oparciu sofy.

- Byłbyś ze mnie dumny, wiedząc, co robiłam w środę - otóż spędziłam cały dzień na wózku inwalidzkim Angeli.

Ryan zmarszczył brwi.

- Nie masz nawet pojęcia, jaką pułapką wydaje się własny dom, gdy musisz poruszać się na takim wózku. Trzeba wszystko zmieniać - klamki, kontakty, parapety, wąskie korytarze, półki i wieszaki w szafach...

- Urwała po chwili, zorientowawszy się, że Ryan obserwuje ją z podziwem i dumą. Zaśmiała się speszona. - Przepraszam, trochę mnie poniosło.

- Jesteś nadzwyczajną kobietą, Lindsay Forrest - odparł. Poglądził ją po głowie. - Marg mówiła mi, że piszesz artykuły dla *Architectural Trends* o projektowaniu wewnątrz dla niepełnosprawnych.

- To był pomysł Angeli, ale muszę przyznać, że dzięki temu mam już przygotowany pewien projekt. Czy wiedziałeś, że...

Położył jej palec na ustach.

- Nie przyprowadziłem tu pani, by rozmawiać o architekturze, mimo iż ty i ona jesteście bliskie memu sercu.

- A więc - rzuciła mu powłóczyście spojrzenie - w jakim celu mnie tu sprowadziłeś?

Objął ją i głaskał gładkie, nagie ręce.

- Bardzo chętnie ci pokażę, bowiem nie wszystko da się opisać słowami. - Zsunął ramiączka sukienki, która opadła do talii, pozostawiając ją nagą w świetle kominka.

Odchyliła głowę do tyłu i patrzyła na niego przez zmrużone oczy. Objął dłońmi jej piersi, unosząc je

trochę do góry, po czym nachylił się, by wziąć w usta różowy koniuszek brodawki.

- Och, Ryanie... - szepnęła cicho. Poczowała gorący dreszcz, który przeszył jej ciało. - Powinnam już... iść - szepnęła i równocześnie przyciągnęła go mocno do siebie.

- Zostań - mruknął, nie przerywając pieśczoł.
- Muszę jutro jechać do Nowego Jorku, ale chciałbym, żebyś tu na mnie czekała. Możemy się kochać i pić szampana, kochać i piec steki, a potem znów kochać i...

- Ryan! - roześmiała się. - Czy nazwałam twoje zachowanie niepoprawnym? Przyznaję, pomyliłam się, to jest po prostu obsesja.

- Raczej czary - szepnęła. - Doprawdy nie rozumiem jak przeżyłem te trzy lata bez ciebie...

- Ryan, to już nie to samo - mruknęła, drażniąc językiem kącik jego ust. - Nie wrócimy do tego, co było. Ja cię nie Kocham...

- Nie szkodzi - szepnął i przyciągnął ją do siebie.
- Zostań ze mną tylko na tę noc. O nic więcej nie proszę.

Wiedziała, że nie chodzi tylko o tę noc. Chciał czegoś więcej. Wierzył, że uda mu się rozbudzić jej miłość na nowo. Nie mogła mu robić nadziei.

Oparł ją o poduszki sofy. Wystarczyło powiedzieć jedno słowo, a prawdopodobnie zostawiłby ją w spokoju.

Objął ją mocno w talii i przytulił. Było w tym geście niemal błaganie, zaproszenie nie wymagające słów. Spojrzała mu prosto w oczy i powoli uniosła biodra.

Potem słyhać było już tylko szelest zdejmowanej jedwabnej sukienki. Wziął Lindsay na ręce, jak małe

dziecko, i zaniósł do sypialni. Objęła go mocno za szyję, zdziwiona, że nie ma nic przeciwko temu, by do niej wrócił. Tak jakby przez cały czas rezerwowała dla niego miejsce.

Przestała już myśleć o tym w kategoriach dobra i zła. Zostając tu dzisiaj, zgodziła się zostać na zawsze. Chciała zachować to, co mimo wszystkich przeszkód istniało między nimi. Być może Ryan nazwie to miłością? Cóż, nie ma sensu spierać się o słowa.

Dwa dni później wyrwał ją ze snu natarczywy dźwięk telefonu. Na wpół przytomna szukała po omacku słuchawki i zegarka. Któż, na Boga, dzwoni o ósmej rano w niedzielę?

- Lindsay - usłyszała silny baryton. - Tu Carl Danvers.

- Carl? - Lindsay usiadła zupełnie przytomna. Carl był jej adwokatem. Wiedziała, że jedynie ogromnej wagi sprawa mogła spowodować, że opuścił pole golfowe w niedzielne przedpołudnie.

- Jestem razem z Boydem Meyerem. Dzwonimy od ciebie z biura, z twojego aparatu.

- Witaj, złotko - usłyszała niski głos swego księgowego. - Masz trochę kłopotów, malutka. Sądzę, że byłoby lepiej, gdybyś tu szybko przyjechała.

- Chodzi o Jeffa, prawda? - wstawała już z łóżka. Czuła, że żołądek ma zupełnie ściśnięty. - Coś mu się stało?

- Nie ma go już... - odparł Carl.

- Nie ma? Chcesz powiedzieć, że nie żyje?

- A skądże - parsknął Boyd. - Choć nie wróżę mu długiego życia, jeśli wpadnie w twoje ręce. On zwał, Lin. Wybrał wszystko co do grosza i zwał na Florydę.

Pierwszą reakcją Lindsay była ochota do śmiechu. Zastanawiała się, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy też ma jakiś koszmarny sen.

- Lindsay? Kochanie, jesteś tam?

Westchnęła, żałując, że to jednak jawa.

- Będę za godzinę.

Zjawiała się po czterdziestu minutach. Boyd i Carl siedzieli, trzymając nogi na biurku Marg i pili kawę.

Boyd na widok Lindsay szybko opuścił nogi. Wstał z krzesła i podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

- Piękna, jak zwykle. Czy mogłabyś rzucić tę głupią robotę i wyjść za mnie? - Miał na sobie białe tenisowe spodenki, takąż koszulkę i sweter zawiązany na ramionach.

Lindsay wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się, dodając z przekąsem:

- Może zrobię to nawet wcześniej, niż się spodziewasz, tylko nie wiem, czy zdołam cię wyciągnąć z kortów.

Na jego pociągłej, przyjaznej twarzy zagościł nagle wyraz smutku.

- Siadaj, kochanie, może podać ci kawę?

Pokręciła głową ze zniecierpliwieniem.

- Co się stało?

W tym momencie w drzwiach biura Jeffa stanęła Marg, trzymając w rękach stos różnych dokumentów. Była bardzo blada. Z ulgą spojrzała na Lindsay.

- Jak to dobrze, że jesteś. Byłam jeszcze w łóżku, gdy Carl do mnie zadzwonił. Postanowiliśmy nie ściągać cię tu, dopóki nie zorientujemy się, co jest grane.

- No więc? Gdzie jest Jeff?

- W Miami - odparł smutno Carl.

- Był tu w piątek, zaraz po twoim wyjściu. - Marg odłożyła papiery. - Powiedział, że musi z tobą porozmawiać. Gdy powiedziałam mu, że jesteś z Ryanem, dostał furii. Stwierdził, że w takim razie ta rozmowa nie ma sensu i zamknął się u siebie w biurze. Wyszedł po godzinie ze stertą papierów. Nic nie podejrzewałam. Dopiero gdy przyszedłam tu wczoraj, zastałam ten bałagan. Wyglądało to tak, jakby szukał czegoś w pośpiechu, zabrał, co było mu najpotrzebniejsze, a resztę zostawił, gdzie popadło. Byłam przerażona. Dzwoniłam do ciebie do domu - przerwała trochę speszona. - Powinnam była próbować dalej, ale... sądziłam, że wyjechałaś na weekend.

Nie, pomyślała Lindsay. Byłam w objęciach Ryana. Kochałam się z nim, podczas gdy Jeff ulatniał się z połową mojej firmy.

- Brakuje czegoś?

- Właśnie sprawdzam. Na razie wygląda na to, że nie zabrał nic ważnego. Opróżnił jedynie swoje biurko z osobistych rzeczy i paru projektów. Zostawił natomiast dokumenty dotyczące Atrium. - Wzruszyła ramionami, zdziwiona.

- Coś tu się nie zgadza. - Lindsay spojrzała na Carla. - Widziałam się z nim we wtorek. Wspominał o pracy w Miami, ale przecież nie wyjechałby bez...

- Nie ma go - przerwał Boyd. - Wyczyścił twoje konto i wycofał parę krótkoterminowych wpłat. Zrobił to szybko i po cichu. Nie wiedziałbym o niczym do poniedziałku, gdybym nie spotkał się na korce z twoim bankowcem. Powiedział mi, że Jeff był u niego w piątek. Przyszedł późno, bardzo zdenerwowany, wycofywał wszystko, co się dało. Spytał mnie, czy wiem coś

o rozwiązaniu waszej spółki. Ponieważ nic nie było mi wiadomo, zadzwoniłem do Carla - zaśmiał się cicho. - Wyrwałem go w najważniejszym momencie gry.

- No właśnie - wściekał się Carl. - Nie dość, że zwiął z całym majątkiem, to jeszcze zepsuł moją najlepszą partię od lat...

Lindsay zamknęła oczy i odgarnęła do tyłu włosy.

- Ja w dalszym ciągu tego nie rozumiem. Jeff był panikarzem, ale nigdy nie zdobyłby się na coś takiego.

- A jednak - wycedził Boyd. Odchylił się na krześle i położył nogi na biurku Marg. - Wygląda na to, że tym razem działał w pośpiechu. Gdyby chodziło mu jedynie o wycofanie się z firmy, sprzedałby ci swoją część. Zdawał sobie jednak sprawę, że parę tygodni zajmie ci zebranie pieniędzy a nie chciał czekać. Postanowił więc zabrać, co się da i zwiął.

- Czy chcesz go zaskarżyć? - spytał Carl.

Lindsay pokręciła głową, zastanawiając się, czy wygląda równie źle jak się czuje.

- Dajmy mu spokój. - Spojrzała na Marg. - Czy gdy widziałas go po raz ostatni, mówił coś? Cokolwiek?

- Mówił tylko o... tobie i Rynie - odparła trochę zmieszana Marg. - Mówił, że ty przez cały czas o wszystkim wiedziałas, że przez ostatnie trzy miesiące knuliście coś wspólnie z Ryanem, to znaczy, że te cztery stracone zamówienia to wasza sprawka. - Zdezorientowana wzruszyła ramionami. - Nic z tego nie rozumiałam, a poza tym on był pijany.

- Knuliśmy? - powtórzyła jak echo Lindsay. Powoli wszystkie elementy tej łamigłówki zaczęły układać się w całość. - Co knuliśmy? O jakich trzech miesiącach on mówił?

Trzy miesiące. Nagle poczuła przejmujący chłód

Webster i Forrest straciło cztery poważne zamówienia w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Jedno po drugim. Wygrała je ta sama tajemnicza firma - *Kismet Architectural*.

Ryan wspominał, że wrócił z Europy jakieś... trzy miesiące temu. Pracował w Montrealu i Nowym Jorku.

Kismet Architectural ma swoje biura w Nowym Jorku.

- Łobuz! - syknęła Lindsay. - No oczywiście! - zaśmiała się nienaturalnie i spojrzała na przerażoną Marg. - To wszystko sprawka Ryana. To on podkradał każde nasze zamówienie, czyhał na każdym kroku. Chodziło mu o Jeffa...! - Zamknęła oczy, próbując trochę ochłonać. - Tego właśnie Jeff dowiedział się w Nowym Jorku! To dlatego szukał pracy w Miami. Przejrzał zamiary Ryana i zrozumiał, że nie ma najmniejszej szansy...

Zreflektowała się po chwili, że cała trójka wpatrywała się w nią, nic nie rozumiejąc. Spojrzała na Boyda.

- Jak przedstawia się moja sytuacja?

- Chyba nie mnie powinnaś zadać to pytanie - zażartował. Potem jednak poprawił się w krześle i spoważniał. - Będiesz miała trochę kłopotów z przepływem gotówki. Wyczyścił doszczętnie twoje konto inwestycyjne. Ale nie bój się, poradzimy sobie.

- Carl? - Uśmiechnęła się słabo.

- Najważniejsze to przepisać wszystko na twoje nazwisko. Przygotuję dokumenty na jutro.

Pokiwała głową. Czuła zupełną pustkę i otępienie.

- Spotkajmy się tu jutro po południu. Chcę przejrzeć papiery Jeffa. Muszę zobaczyć, co mnie czeka. Na pewno znajdzie się parę zamówień, z których trzeba

będzie się wycofać albo przełożyć ich realizację, a to wiąże się już z odpowiedzialnością prawną i finansową.

Carl przytaknął.

- Zamrozę wszystkie fundusze firmy, dopóki nie zostaną przepisane na ciebie. On może jeszcze chcieć coś zabrać.

Wstali razem z Boydem i ruszyli do drzwi. Boyd obejrzał się na Lindsay.

- Poradzisz sobie?

- Nic mi nie będzie - uśmiechnęła się.

Zawahał się jeszcze, jakby chciał coś powiedzieć, zmienił jednak zdanie i opuścił biuro.

- No tak. - Marg podeszła do biurka, by je uprzątnąć. - Zadzwoń do Gorda i powiem mu, że może swoje wnuczki mieć tylko dla siebie przez dzisiejsze popołudnie.

- Nie wygłupiaj się, Marg - odparła Lindsay, siląc się na uśmiech. - Idź do domu. Nie ma sensu żebyśmy obodwie miały zmarnowaną niedzielę. Poza tym chciałabym zostać sama...

Marg spojrzała na nią zatroskana.

- Chyba dobrze, że tak się stało. Rozumiesz to prawda, Lindsay?

- Tak - odparła. - Tak, Marg, rozumiem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po wyjściu Marg Lindsay zamknęła się w biurze Jeffa. Zrobiło się strasznie puste. Zabrał wszystko, co do niego należało, oprócz kubka do kawy, który dała mu na urodziny. Wzięła go do ręki.

Boże, musiała być ślepa. Przecież Ryan powiedział jej, że wrócił tu, by zemścić się na Jeffie. Widać wmówiła sobie, że to jedynie pogrożki albo w ogóle nie dopuszczała do siebie takiej możliwości. Być może łudziła się, że wrócił do niej, a cała reszta jest jednym wielkim nieporozumieniem między dwoma mężczyznami.

Najbardziej bolesny był fakt, że zrobił to z zimną krwią. Nie działał w afekcie, lecz z pełną premedytacją. A jego powrót do Stanów? W tajemnicy, bez rozgłosu. Zjawił się w Nowym Jorku, śledząc każdy krok spółki *Webster i Forrest*. Wykrał im cztery poważne zamówienia, nie budząc najmniejszych podejrzeń.

Oczywiście, nie miała z tym nic wspólnego. To była prywatna wojna dwóch panów, a ona stała się jej ofiarą.

Ryan odbił ją Jeffowi parę lat temu i zabiegał o jej względy, dopóki się w nim nie zakochała. Gdy osiągnął swój cel, stracił zainteresowanie i wyjechał w poszukiwaniu nowych wrażeń. Teraz chciał, żeby do niego wróciła, ale bynajmniej nie dlatego, że nadal ją kochał - chciał jedynie odzyskać swą własność, tak

jak Atrium czy spółkę McCrea. Wiadomo również było, że Ryan nie poddaje się łatwo.

Łzy napłynęły jej do oczu. Jak długo to miało trwać? Aż znów się w nim zakocha? Czy też wystarczająco długo, by idąc z nią do łóżka mógł wetrzeć sól w jeszcze świeże rany Jeffa?

Jeff wierzył, że ją odzyska, ale gdy dowiedział się, że spędziła noc z Ryanem, wszystko straciło nagle sens. Nie było już powodu, dla którego mógłby podjąć walkę.

Uśmiechnęła się gorzko. To była podwójna gra, Ryan chciał sprawdzić siebie i zranić Jeffa. Fakt, że nie rzuciła mu się w ramiona już pierwszego wieczoru, bardzo zranił jego dumę. A Ryan McCrea nigdy nie rezygnował.

Uniosła kubek do góry. - Za ciebie, Ryanie - szepnęła. - I za dobrze rozegraną partię. - Po czym rzuciła nim z całej siły o ścianę. Rozbił się z hukiem, a drobne porcelanowe cząsteczki rozprysły po całym biurze. Lindsay zapłakała cicho i zebrała z podłogi to, co z niego zostało.

Cztery dni później Lindsay stała w domu Birghama Westlake'a i bawiła się doskonale.

Była w centrum uwagi, gdy Westlake oprowadzał ją po swym królestwie, ciesząc się jak dziecko z nowej zabawki. Chwalił się nią przed wszystkimi gośćmi, dumny z odkrycia nowego talentu w świecie architektury. Uwolniła się od jego towarzystwa dopiero po paru godzinach. Szybko wtopiła się w tłum i rozkoszowała atmosferą przyjęcia.

Przyjęcia u Westlake'ów były nie lada wydarzeniem, a to nie stanowiło wyjątku. Lindsay znała wielu gości

- dla niektórych wykonywała zamówienia, innym była polecana, rozpoznała też paru współników Westlake'a. Cały ten tłum delectował się teraz świetnym jedzeniem i trunkami. Salon wprost mienił się od kosztownych sukien i biżuterii. Gdzieś w rogu stała siedmioosobowa orkiestra. Subtelne latynoskie rytmy królowały nad gwarem ponad stu głosów.

Westlake stał teraz z jej prawej strony, rozmawiając z jakimś starszym mężczyzną, którego nazwiska nie dosłyszała. Był wysoki, miał szpakowate włosy. W ustach trzymał rzeźbioną fajkę, która, jak podejrzewała Lindsay, była tam przytwierdzona na zawsze. Tym razem zgasła, bowiem Westlake tłumaczył coś zawzięcie swemu sąsiadowi.

- Nie ma żadnych wątpliwości. To najlepsza architektka w Stanach i byłbyś głupcem, zatrudniając do zaprojektowania twego banku kogoś innego.

Lindsay podniosła do ust kieliszek Dubonneta, chcąc ukryć swój uśmiech. Rozejrzała się wolno po salonie. Jakiś wysoki, ciemnowłosy mężczyzna spojrzął na nią, skinął głową i uniósł kieliszek w geście toastu. Uśmiechnęła się, próbując sobie przypomnieć, czy był to hrabia z Wiednia, czy też jakiś producent z Hollywoodu.

Westlake dyskutował teraz o ratach pożyczek bankowych. Przeprosiła więc swych sąsiadów i ruszyła w stronę przystojnego bruneta. Wiedeński hrabia, była tego pewna. Rozmowa z arystokratą musi być ciekawsza od przysłuchiwania się dyskusji o pożyczkach i rządowym projekcie budżetu. Może uda się go naciągnąć na jakieś zamówienie. Może spędzi przyszły rok, projektując wnętrza pałacu nad Dunajem.

- Ten dom jest wspianały, panno Forrest. Po prostu wspianały.

Lindsay drgnęła. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Janem VanKleefem. Musiała chwilę ochłonać, mimo iż spodziewała się go tu zastać. Razem z Westlake'em poruszali się w tych samych kręgach biznesu, nic więc dziwnego, że spotykali się również prywatnie.

- Dziękuję - odparła z uśmiechem. - Ale sądzę, że jest to głównie zasługa dekoratora. Ja stworzyłam mu jedynie przestrzeń.

Niebieskie oczy błysnęły z zachwytu.

- Kobieta utalentowana i atrakcyjna nie musi być aż tak skromna. - Był wysokim i szczupłym mężczyzną, o lekko siwiejących włosach. - Miałem nadzieję, że panią tu spotkam. Nie było bowiem okazji, by porozmawiać, gdy prezentowała pani swój projekt radzie nadzorczej, w zeszłym tygodniu. - Z jakiegoś sobie wiadomego powodu pokiwał głową i spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem. - Byłem pod dużym wrażeniem, panno Forrest. Ma pani wielki talent.

- Doprawdy, dziękuję panu. - Była zaskoczona. - Starła się ukryć swe podniecenie i skinęła głową w stronę pobliskich drzwi. - Tam jest biblioteka. Może przejdziemy, jeśli nie ma pan nic przeciw temu?

Uśmiechnął się figlarnie.

- Jest pani stanowczo za piękna, żeby ukrywać się w bibliotece. A ja jestem jeszcze wystarczająco młody i próżny, i chcę stać się obiektem zazdrości wszystkich zebranych tu mężczyzn.

Roześmiała się radośnie. - Tylko tak dalej, panie VanKleef, a może zaprojektuję pańską galerię za darmo.

- Jeśli nie skończę od razu, to nie będę potrzebował architekta, lecz prawnika, by udzielił mi rozwodu. - Po

tych wszystkich grzecznościach przeszedł do sedna sprawy. - Chciałbym być z panią szczerą, panno Lindsay. Oferta, którą pani przedstawiła, bardzo mnie interesuje. Muszę przyznać, że miała pani tylko jednego konkurenta, bowiem żadna z pozostałych propozycji nie była nawet w połowie tak dobra i interesująca. Niemniej jednak, jeszcze parę dni temu, istniały dwa argumenty przeciwko pani ofercie: jeden to zrozumiały brak doświadczenia, a drugi to pani partner. Sądzę, że dom Westlake'ów wyeliminował pierwszy, natomiast co do drugiego słyszałem zachęcające pogłoski.

Brutalna szczerść VanKleefa, odebrała jej na chwilę oddech, lecz wytrzymała jego spojrzenie. Prowadzenie gry z VanKleefem nie miało mniejszego sensu. Oboje dokładnie wiedzieli, o co im chodzi.

- Jeff Webster opuścił firmę - powiedziała cicho.

- Świetnie. Ma pani znakomite referencje, panno Forrest. A teraz... - skinął na kelnera. - Pozwoli pani, ten kieliszek trzeba już wymienić, a poza tym Westlake nie zaprosił nas tu, byśmy omawiali interesy. Czy poznała już pani moją żonę?

- Tak, przed paroma minutami. - Starła się nadażyć za VanKleefem. Czyżby to miało znaczyć, że ma jeszcze szansę na jego zamówienie? Z chwilą, gdy dowiedziała się, że Ryan jest właścicielem *Kismet*, zrezygnowała z walki. Była dobra, ale nie na tyle, by stawać w szranki z Ryanem McCrea. Jeszcze nie teraz.

- Moja żona jest artystką, panno Forrest. Maluje. Nie jest zbyt uzdolniona, ale za to pełna entuzjazmu. Na szczęście zna swoje możliwości i przelała swą miłość do sztuki na wyszukiwanie młodych talentów. Postanowiła założyć galerię i prezentować prace tych artystów. - Wyjął pusty kieliszek z jej ręki i podał

pełny. - Poświęciła wiele lat temu projektowi, a to znaczy, że doprowadzi panią do szaleństwa. Projektując jej galerię, może pani zechcieć pożegnać się z architekturą na zawsze.

Odpowiedziała śmiechem.

- Przesadzam oczywiście, ale może się okazać, że ja i moja żona będziemy dla pani nie lada wyzwaniem. Więc jak? Nadal jest pani chętna?

- Oczywiście - odparła zdecydowanie. - Jeszcze nigdy nie odrzuciłam wyzwania.

- To właśnie mówiono mi o pani - odparł zamyślony. - Pracowała pani kiedyś dla Ryana McCrea, prawda?

Lindsay wstrzymała na chwilę oddech. To było pytanie retoryczne. Taki człowiek, jak VanKleef prawdopodobnie dokładnie przestudiował jej karierę od szkoły podstawowej począwszy.

- Pracowałam w *McCrea and Associates* przez ponad pięć lat.

- To bardzo dobrze - odparł rzeczowo. Spojrzał na nią uważnie. - No to jak, panno Forrest? Czy jest pani tak dobra, jak mówią?

Zastanowiła się przez chwilę nad podtekstem pytania, po czym przytaknęła.

- Tak, panie VanKleef. Jestem tak dobra, jak mówią.

Takiej odpowiedzi oczekiwał. Uśmiechnął się z pełną aprobatą.

- A teraz, jeśli pani pozwoli, odejdę. Życzę dobrej zabawy.

Lindsay odprowadziła wzrokiem VanKleefa. A więc jest jeszcze szansa wygrać zamówienie. Poza tym sama myśl, że ubiegnie Ryana, była bardzo podniecająca.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się w stronę przystojnego bruneta. Niestety, wiedeński hrabia już zniknął. Rozejrzała się więc za jakąś znajomą twarzą.

Nagle czyjaś ręka złapała ją w talii i mocno pociągnęła. Odwróciła się i zamarła.

- Panno Forrest, chciałbym pani osobiście pogratulować.

- Ryan! - próbowała się od niego odsunąć, lecz przyciągnął ją jeszcze bliżej. Uśmiechnął się do niej niebezpiecznie. Dla kogoś patrzącego z boku wyglądało to na przyjacielski uścisk, jednak Lindsay odczuła go boleśnie.

- Od paru dni dzwonię do ciebie do biura, do domu, ale za każdym razem słyszę Marg albo tę okropną automatyczną sekretarkę. Łatwiej dodzwonić się do samego prezydenta.

- Byłam zajęta - odparła sucho.

- No, chyba nie aż tak - szydził. Przycisnął ją mocniej do siebie, próbując wyprowadzić z tłumy.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Jakikolwiek ma być temat tej rozmowy, na pewno może poczekać! - Uśmiechnęła się sztucznie i skinęła głową w stronę młodego kongresmena i jego żony w ciąży. - Jak się tu dostałeś? Wiem, że nie byłeś zaproszony! - Nie powiedziała jednak, że upewniła się o tym, zanim sama przyjęła zaproszenie.

- Wprosiłem się - odparł spokojnie, starając się przekrzyczeć otaczający ich tłum. Cały czas witał się i ścisnął ręce napotykanym osobom, a mimo to mocno trzymał Lindsay.

Zwilżyła językiem usta. Zastanawiała się, jak uciec Ryanowi i zniknąć w tłumie. Widziała jednak po jego

oczach, że nie ma to najmniejszego sensu. Polowałyby na nią jak kot na mysz.

Spojrzała nań z uśmiechem, modląc się, by wszyscy zebrani sądzili, że jest to czysto przyjacielski uśmiech.

- Przyjdź do mnie jutro do biura, a będziesz mógł wygadać się do woli. To nie jest ani miejsce, ani czas na takie...

- Teraz - powiedział ostro. - Mam już tego dosyć. Albo znajdziemy jakieś ustronne miejsce, albo wyłóżymy kawę na ławę właśnie tutaj.

Lindsay poczuła, jak krew pulsuje jej w żyłach.

- Do jasnej cholery, nie próbuj mnie straszyć, bo...

- Bo co...? - syknął, wyprowadzając ją z salonu. Był trochę zdenerwowany.

Parę zaciekawionych spojrzeń odprowadziło ich do drzwi.

- Ryan, proszę, uspokój się, ludzie patrzą!

- W takim razie postarajmy się nie sprawić im zawodu - powiedział ostro i zanim zdążyła się zorientować, pociągnął ją na parkiet, po którym wirowało mnóstwo par.

Orkiestra jakby na umówiony sygnał zaczęła grać szybką nowoczesną muzykę, co spowodowało, że na parkiecie zrobiło się od razu luźniej. Ryan wprawnie okręcił Lindsay, chwytając ją wprost w swe ramiona.

- Zatańczymy, panno Forrest?

Nie dała się ponieść złości. Świadoma otaczającego ich tłumu rozbawionych gapiów, wspięła się na palce, szybko wczuła w rytm muzyki i krok Ryana. Rozległ się szmer podziwu.

- Wyglądasz dziś cudownie - szepnął. - Sprawiasz, że połowa zebranych tu mężczyzn potyka się o własne

nogi, wpatrując się ciebie, a druga połowa poważnie rozważa ewentualność rozwodu.

- Ty natomiast jesteś wyjątkowo irytujący - odparła podobnym tonem. - Dziwię się, że wróciłeś do Bostonu, zamiast pozostać w Nowym Jorku. Przecież tam właśnie rozkręca się cała zabawa.

- Jeśli to była jakaś aluzja to będziesz musiała mi wyjaśnić jej znaczenie. Zresztą jest jeszcze dużo spraw, które chciałbym z tobą omówić i to zaraz.

Wyszczerzyła zęby w sztucznym uśmiechu.

- To jest przyjęcie, a nie konferencja, Rynie.

Przyciągnął ją do siebie zniecierpliwiony.

- Widziałem, że rozmawiałaś przed chwilą z Van-Kleefem. Co ci powiedział?

- Sam go o to zapytaj - syknęła, odchylając głowę by spojrzeć mu w oczy.

Uśmiechnął się szeroko i okręcił ją parę razy w najtrudniejszej figurze, jaką zna ten taniec. Wywołało to duży aplauz na sali. Coraz szybszy, wymagający nie lada kondycji i umiejętności rytm wypłoszył resztę par. Na parkiecie pozostali tylko oni.

Lindsay, ku swemu zdziwieniu, zaczęła się doskonale bawić. Śmiała się podniecona muzyką i narastającym poczuciem zagrożenia. Przez chwilę widziała odbicie w szybie - wysoki przystojny mężczyzna ze swą roześmianą partnerką o długich nogach, podkreślonych wirującą sukienką i butami na wysokim obcasie.

- Wychodząc w tej chwili bylibyśmy u mnie już za godzinę - szepnął Ryan, uśmiechając się tajemniczo.

- Jestem z kimś umówiona - skłamała szybko.
- A poza tym jestem gościem honorowym, jeśli sobie dobrze przypominasz.

- No to odwołaj spotkanie, a ja jakoś wytłumaczę gospodarzom twe nagłe wyjście.

Rytm stawał się coraz gorętszy. Ryan przyciągnął ją do siebie i obejmując jej biodra kierował harmonijnym ruchem dwóch ciał. Wczuła się w ten zmysłowy rytm ku ucieście publiczności. Wygięła się prowokująco, trzymając mu ręce na ramionach i odchyliwszy głowę do tyłu rozsypała burzę mahoniowych włosów.

Ryan również doskonale się bawił. W jego ruchach był jakiś leniwy, obezwładniający wdzięk, a w jego oczach tylko Lindsay.

- Gdyby nie ta cała publika, wziąłbym cię tu na środku parkietu...

Lindsay odrzuciła włosy do tyłu, śmiejąc się głośno.

- Powstrzymywanie się w twoim wieku jest wielce niebezpieczne, Ryane.

- Pojedź ze mną do domu - nalegał. - A pokażę ci, jak trudno jest mi się powstrzymać przy takiej kobiecie jak ty.

Orkiestra narzuciła jeszcze szybsze tempo, a oni wnet się do niego dostosowali. Ruchy i uśmiech Ryana były coraz bardziej prowokujące.

Lindsay zaczęła się rumienić, zdając sobie sprawę, że nie była to jedynie zasługa Dubonnetu. Próbowwała uwolnić się z objęć Ryana, lecz on przyciągnął ją jeszcze mocniej, trzymając jedną rękę na jej plecach, drugą zaś na pośladkach, a to przestało przypominać normalny taniec.

- Ryan - zaprotestowała. - Wzbudzamy nadmierną sensację, będą plotki...

- Raczej pobudzamy niż wzbudzamy i niekoniecznie... plotki. - Przyciągnął ją do siebie tak, by

zrozumiała, o co mu chodzi. - Jeśli nie przesuniemy się na taras, to będzie skandal.

Tańczącym krokiem przemierzili cały parkiet i stanęli w drzwiach tarasu, żegnani oklaskami. Gdy tylko znaleli się na świeżym powietrzu, Ryan przyciągnął ją do siebie.

- Ryan...! - Zdołała się jakoś oswobodzić. - Uspokój się natychmiast!

Puścił ją tak raptownie, że musiała zrobić dwa drobne kroki, by złapać równowagę.

- O co ci chodzi, do jasnej cholery?

- Chciałam ci zadać dokładnie to samo pytanie! - spojrzała na niego wściekła, nadal próbując zapamiętać nad oddechem. - To jest prywatne przyjęcie, a nie oddawanie hołdu bogini płodności.

Stanął przed nią w rozkroku, zamykając drogę odwrotu i spojrzał groźnie mrużąc oczy.

- Żądam wyjaśnień, Lin. Wróciłem w niedzielę, przekonany, że między nami jest wszystko w porządku, a co zastałem? Zupełną pustkę i ciszę. Za każdym razem, gdy dzwoniłem do ciebie do biura, Marg odpowiadała, że jesteś na zebraniu albo z jakimś klientem. Nagrałem się chyba z pięćdziesiąt razy na sekretarkę automatyczną u ciebie w domu. Ba, byłem tam nawet osobiście, ale ominąć tego wartownika, to tak, jakby próbować się wdrzeć do Fortu Knox. - Westchnął głęboko i odgarnął włosy z czoła. - Wyjaśnisz mi więc, o co chodzi?

- O nic - odparła spokojnie. - Zresztą sam powinieneś wiedzieć.

- O czym?

- Oszczędź mi scen - warknęła. - A poza tym, nie zgrywaj rozżalonego kochanka, bo kiepsko ci to wychodzi!

- O co ci.... - Przerwał w obawie, że powie coś, czego będzie żałował. Przeszedł się nerwowo po tarasie.
- Czy będziemy się bawić w zgaduj-zgadulę przez cały wieczór? Czy odpowiesz mi łaskawie, co cię ugryzło? Bo jeśli sądzisz, że dam się spławić, to grubo się mylisz.

- Skończmy tę zabawę, Ryan - odparła zirytowana, patrząc mu prosto w oczy. - Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Czy naprawdę sądziłeś, że się nie dowiem?

- Do jasnej cholery, Lin! Przestań owijać w bawełnę i powiedz mi, co się stało!

Coś w jego głosie sprawiło, że przyjrzała mu się uważniej. Jednak po chwili parsknęła śmiechem.

- O Boże, i mam uwierzyć, że ty nic nie wiesz?

- Czego nie wiem? Przecież już od piętnastu minut próbuję coś z ciebie wyciągnąć, ale ty bawisz się w zagadki i oskarżenia. Powiedz mi, co ja takiego...

- Jeff wyjechał - odparła krótko. - Wyjechał w tym tygodniu.

- Wyjechał? - spytał zdziwiony. - Jak to?

- Tak to. Znalazł sobie inną robotę i zniknął.

- Oparła się o ścianę z założonymi rękoma. - Nie potrafił z tobą walczyć - zresztą nigdy mu się to nie udawało. Załamał się i uciekł. Będzie tak uciekał przed tobą przez całe życie - uśmiechnęła się smutno.

- Jesteś dobry, bardzo dobry, ale zabawa skończona. Wróc więc do Nowego Jorku i pozwól, że ja poukładam sobie jakoś swoje sprawy.

- Ty wierzysz, że Jeff uciekł przeze mnie? - spytał tak szczerze zdziwiony, że zawahała się przez moment.

- Kochanie, o co chodzi?

- Nadal grasz, Ryan? - spojrzała na niego z politowaniem i pokiwała głową. - No dobrze, jeśli lubisz gry, to proszę bardzo. W ciągu ostatnich trzech

miesiący *Webster i Forrest* straciło cztery poważne zamówienia. Każdy kontrakt był już praktycznie podpisany, ale zawsze w ostatniej chwili zjawiał się jakiś tajemniczy konkurent i sprzątał go nam sprzed nosa. Jak sądzisz, kto to mógł być?

- W tym interesie należy się liczyć z konkurencją - powiedział cicho Ryan.

- Nie przesadzajmy. Za każdym razem przegrywaliśmy z *Kismet Architectural* z Nowego Jorku.

Ryan stał bez słowa, wpatrując się w Lindsay. Poczwała dziwny ucisk w żołądku. Za wszelką cenę chciała się mylić, ale widząc jego reakcję, nie mogła mieć już żadnych wątpliwości.

- Poza tym nie był to chyba przypadek, że *Kismet Architectural* składał swą ofertę na godzinę przed zamknięciem konkursu. - Spojrzała na niego, marszcząc czoło, ale Ryan milczał. - W związku z tym ośmielę się stwierdzić, że wszystko to z góry ukartowałeś.

On jednak nadal milczał. Poczwała zimny dreszcz, odwróciła się, rozcierając ręce. Chciała zostać sama, ale trudno było udawać, że nic się nie stało. Czekwała na reakcję Ryana.

- Zresztą to nie było takie trudne. - Czuła, że musi przerwać tę ciszę. - Znałeś możliwości moje i Jeffa, więc wślizgnąłeś się ze swoimi tanimi ofertami w ostatniej chwili. - Spojrzała na niego. - Jak długo chciałeś się w to bawić? Do samego końca? Chciałeś nas doprowadzić do bankructwa, by zjawić się w ostatniej chwili i wykupić firmę? Taki gest w imię starej przyjaźni. Potem zaproponowałbyś nam pracę w nowej *McCrea and Associates*.

- Nie wiem. - Ta szczerość zmroziła ją. Odwrócił się i wbił wzrok gdzieś daleko przed siebie.

Lindsay spojrzała na jego plecy. Co chcę od niego usłyszeć? pomyślała wściekła na siebie. Że to było nieporozumienie? Kiepski żart? Ryan nie wykonywał nieprzemyślanych ruchów. Każda decyzja była wykalulowana. A ten przypadek potwierdzał regułę.

Pokiwał lekko głową i odgarnął włosy do tyłu.

- Do licha, Lin - rzekł cicho. - Nie chciałem cię skrzywdzić.

- Nie obawiaj się, nic mi się nie stało - skłamała. - Traktuję to jako jeszcze jedną lekcję. Tę z serii „Brutalne lekcje życia w wykonaniu Ryana McCrea”.

Szorstkość własnego tonu przeraziła ją trochę, tym bardziej że zobaczyła, jakie wrażenie wywarł on na Ryanie. Przez chwilę był blady jak ściana, po czym zaczerwienił się ze złości i zaczął miotać się po tarasie.

Spojrzała na niego. Nawet gdyby celowo chciała go zranić, w najśmielszych oczekiwaniach nie przewidziała takiej reakcji. A jednak coś mąciło poczucie satysfakcji - to wszystko potoczyło się zbyt gładko, za szybko zwyciężyła.

- Lin, przysięgam - nie wiedziałem, że sprawy przyjmą taki obrót - odparł łamiącym się głosem, patrząc jej w oczy. - Zabierałem te zamówienia Jeffowi, nie tobie. Przyznaję, że cała ta zabawa była dziecinadą, ale szlag mnie trafiał, gdy patrzyłem, jak Webster wygodnie się urządził wśród tego, co pozostawiłem.

Żal w jego głosie brzmiał tak szczerze, że spojrzała na niego zdziwiona, nie wiedząc, jak potraktować tę kapitulację. Oczekiwała, że będzie starał się triumfować albo walczyć. On zaś przeproszał za swoje postępo-

wanie. Zupełnie to nie pasowało do wizerunku Ryana bezwzględniego.

Potarła ramiona, starała się odpędzić myśli, których nie potrafiła uporządkować.

- Dziecinada czy nie, ważne że osiągnąłeś to co chciałeś. Gdy Jeff dowiedział się, że *Kismet Architectural* to ty, ukrył się jak szczeniak w budzie. Zresztą nigdy nie był poważnym przeciwnikiem, mam więc nadzieję, że jesteś zadowolony.

- A ty, Lin? Co zamierzasz zrobić? - Westchnął głęboko.

- Ja? - wzruszyła ramionami. - Zacznę chyba realizować swoje marzenie - *Forrest Design*. Na swój sposób chyba mi pomogłeś. - Spojrzała na niego wyzywająco. - Nie zamierzam się poddać, jeśli chodzi o galerię VanKleefa. Tak między nami mówiąc, chcę sprzątnąć ci sprzed nosa to zamówienie.

W jej głosie brzmiała raczej obietnica niż pogróżka, ale czuła się z siebie dumna.

- Nie uwierzysz mi - powiedział cicho. - Ale ja o to nie walczyłem. Któregoś dnia zjawił się u mnie VanKleef i prosił, bym wycenił mu ten projekt. Wiedziałem, że zwrócił się o to samo do dwóch innych firm, ale przysięgam, że do ostatniej chwili nie miałem pojęcia, iż jedną z nich była *Webster i Forrest*.

- Czy to by coś zmieniło? - spytała obojętnie.

- Raczej nie.

- No to chyba nie ma sprawy, prawda? Faktem jednak jest, że Jeff zniknął. Być może oczekiwałeś tragiczniejszego zakończenia, ale nic z tego.

- Doskonale wiesz, czego pragnę, Lin.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lindsay spojrzała na niego przestraszona. Wyczuła w jego głosie ostrzeżenie. Wprawdzie Ryan nawet nie drgnął, jednak w jego wzroku było coś, co nie dawało jej spokoju.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Przecież Jeff wyjechał...

- Doskonale wiesz, co mam na myśli. Webster był tylko jednym z powodów, dla których przyjechałem do Bostonu, Lin.

- O czym chcesz mnie przekonać, Ryan? - spytała, doskonale znając odpowiedź. - Dostałeś już to, czego chciałeś. Możesz wyjechać. - Tak jak ostatnim razem, dodała w myśli. Jak trzy lata temu...

- Wróciłem po ciebie, Lindsay - zapewnił ją żarliwie.

- Mówisz o tym tak, jak o jednym z tych twoich cholernych budynków! - Odwróciła się od niego, trochę przestraszona. Spojrzała na drzwi do salonu i ruszyła w ich stronę. - Nie jestem rzeczą, którą się zostawia, a potem po nią wraca.

- Do jasnej cholery, Lin! Przestań przede mną uciekać! - krzyknął.

Stała jak wryta i odwróciła się w jego stronę.

- Ja nie uciekam! Jest mi zimno i chcę wejść do środka.

- Uciekasz od mojego powrotu do Bostonu - stwierdził stanowczo. - Na początku sądziłem, że się mnie

boisz, ale teraz widzę, że ty boisz się siebie samej. Lękasz się dać szansę.

- Szansę komu? - warknęła zirytowana.
- Mnie. Nam.

Uciekła od niego wzrokiem. Miała wrażenie, że właśnie wykonała krok ku przepaści.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła cicho, głosem tak słabym, że trudno było wyczuć w nim sarkazm.

- Doskonale wiesz - powiedział spokojnie. - Trzy lata temu wyznałem ci miłość, a niedługo potem zniknąłem. Dam sobie głowę uciąć, że nie dopuścisz do tego po raz drugi.

- Mój Boże! Roztrząsanie każdej zniewagi, wziąwszy pod uwagę twoją dumę, musi być cholernie męczące!

- Gdybyż to wszystko było takie proste - odparł smutno.

- To jest proste. - Wytrzymała jego spojrzenie, czując, że stoi na krawędzi i każdy następny krok grozi katastrofą. - To ty komplikujesz sprawę. Wydawało mi się, że postawiłam sprawę jasno już pierwszego dnia po twym powrocie.

Uśmiechnął się z politowaniem.

- Wypowiadasz słowa, Lin, ale ja słyszę ich zaprzeczenie. Mówiłaś coś innego parę dni temu w Kaprysię Felduna i potem jeszcze kilka razy to powtórzyłaś. Dokładnie pamiętam.

Odwróciła się wściekła, że nie potrafi wydobyć z siebie słowa.

- Jesteś mężczyzną, któremu trudno się oprzeć - powiedziała po długim milczeniu.

- Tylko o to chodziło? - spytał spokojnie.

Objął delikatnie jej ramiona. Zamarła w bezruchu. Czuła emanujące z niego ciepło, siłę i spokój, których

tak bardzo potrzebowała, ale walczyła z sobą, by się temu nie poddać.

- Wróciłem, ponieważ cię kocham, Lin. To takie proste.

- Wróciłeś, by zniszczyć Jeffa - powiedziała ostro, uwalniając się z jego ramion.

- Nie wierzę, że naprawdę możesz tak myśleć. Nie dzisiaj. Nie po piątkowym wieczorze.

- Piątek był wieczorem dwojga ludzi odurzonych winem, ciepłym kominka i wspomnieniami - odparła spokojnie. - Niczym więcej.

- Kobieta twego pokroju nie oddaje się mężczyźnie z taką pasją tylko z powodu wina i wspomnień. Doskonale cię znam, Lin. To ja nauczyłem cię miłości. To ja spędziłem z tobą dziesięć dni i dziesięć nocy w Cape Cod. Najprawdopodobniej wiem o tobie więcej, niż ty sama.

- Nie znasz mnie wcale. - Odwróciła się speszona.

- Znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie doszłoby do tego wszystkiego w zeszły weekend, gdybyś naprawdę sądziła, iż jedynym powodem, dla którego zjawiłem się w Bostonie, był Jeff Webster. Poza tym wiem doskonale, że tego wieczoru pragnęłaś mnie tak samo, jak ja ciebie.

Spojrzała na niego przerażona. To przecież jej życie i jej decyzja, a jednak Ryan zaczął panować nad sytuacją.

- Dawne namiętności - odparła. - Wszystkim nam się zdarza im się ulec. Ale seks to nie wszystko, Ryan. Tego też mnie uczyłeś. - Spojrzała mu prosto w oczy. Obserwowała, jak zniecierpliwienie w jego oczach pomału zamienia się w zdumienie. Ciągnęła więc dalej, wykorzystując sytuację. - Powinnam być ci

wdzięczna. Zaoszczędziłeś mi wielu rozczarowań tą krótką, brutalną lekcją.

- A zeszyły piątek? - zmarszczył brwi. - Jeszcze jedna noc ze starym kochankiem?

- Coś w tym stylu. Takie radosne powitanie...

Chyba przeholowałam, pomyślała, obserwując Ryana. Poczwała nagle, że powinna jak najszybciej opuścić taras i ukryć się tłumie. Zrobiła krok w stronę drzwi, lecz Ryan niespodziewanie wyrósł przed nią, uniemożliwiając wejście.

Stali tak naprzeciwko siebie, Ryan z zaciśniętymi ustami, Lindsay z rozpalonymi policzkami.

Wtem parsknął śmiechem i odwrócił się kiwając głową.

- Nie ustąpisz, prawda? - spojrzał na nią zniecierpliwiony. - Czy tak zamierzasz spędzić resztę życia? - machnął ręką w stronę domu, ale wiedziała, że chodzi mu o coś więcej. - Ukryta w swoim białym pałacu, mając do towarzystwa jedynie stół kreślarski? Zakopana w stosach projektów i kontraktów, bo jedynie nad nimi masz pełną kontrolę, bo nie są w stanie cię skrzywdzić tak, jak ja to zrobiłem.

Spojrzała na niego przestraszona, czując, że nie potrafi wybrnąć z tej pułapki argumentów.

- To wcale nie...

- Do diabła Lin, sądzisz, że ja nie wiem, co próbujesz zrobić? - odparł rozjuszony. - Nie możesz przecież przelać wszystkich swych uczuć na kamienie i materiały budowlane! Zrozumiałem to dopiero po trzech latach - przez ten czas próbowałem wypełnić pustkę betonem i żelaznymi konstrukcjami, a to, czego naprawdę potrzebowałem, było tu.

- Nie wiem, o co ci chodzi - szepnęła. - Jest mi zimno i chcę wejść do środka.

- Lindsay, nie możesz przez całe życie od tego uciekać. - Złapał ją za rękę. - Wiem, że się boisz! Zakochując się we mnie trzy lata temu, dałaś mi dowód ogromnego zaufania. Udowodniłaś to w najpiękniejszy sposób, jaki kobieta może to udowodnić mężczyźnie. A ja zawiodłem. Skrzywdziłem cię i boisz się, że zrobię to ponownie. Doskonale to rozumiem! Ale chcę, żebyś dała mi jeszcze jedną szansę, Lindsay, tylko jedną szansę, by móc wszystko między nami naprawić. - Ścisnął jej dłoń jeszcze mocniej. - Nie mam w tej chwili mocniejszych argumentów niż słowa. Czy można to wyrazić jaśniej? Chcę jeszcze powiedzieć, że cię kocham.

- Tak jak wtedy? - wyrwało jej się, zanim zdążyła pomyśleć. Jakim prawem żądał odpowiedzi na pytania, których nie zadawała sobie od trzech lat! Jakim prawem wraca tu i burzy jej spokojne życie, żądając więcej, niż może mu dać, oczekując, że zapomni o bólu, goryczy i złości i zacznie się zachowywać tak, jakby nigdy się nic nie stało.

- Lindsay, to już tylko przeszłość. Chcę zacząć wszystko od nowa, proszę o jeszcze jedną szansę...

- Mój Boże, czy sądzisz, że to będzie takie proste?
- Zdołała uwolnić rękę, czując nagły przypływ złości.
- Sądzisz, że możesz wymazać przeszłość z pamięci jednym „przepraszam” i namiętą nocą?

- Lin, doskonale wiesz, że nie o to chodzi. Gdybyś tylko pozwoliła mi wytłumaczyć, zrozumiałabyś...

- Co? - odparła podniesionym głosem. - Starałam się być rozsądna i wyrozumiała. Ale mam już tego serdecznie dosyć. Nie chcę być rozsądna, nie chcę być

wyrozumiała, bo ja nic z tego nie rozumiem - ciągnęła nie zmieniając tonu. - Za kogo ty się uważasz? Przewracasz moje życie do góry nogami, po czym znikasz w pogoni za jakimiś urojonymi marzeniami! Dopasowujesz moje życie do swych potrzeb, a potem odchodzisz pobawić się w coś innego, nie racząc nawet powiedzieć do widzenia!

Ryan wpatrywał się w nią zdumiony. Policzek drgnął mu nerwowo, lecz stał w mroku bez słowa.

Podszedł do niej bardzo blady, z wyciągniętą ręką.

- Lin...!

- Kocham cię, do cholery! - Te słowa wyrwały się jej zupełnie nieświadomie. Zrozumiała teraz, ku swemu przerażeniu, że to była prawda, że przez cały ten czas nie przestała go kochać.

Ryan stał oniemiały. Lindsay drżała jeszcze z wrażenia, a jej oczy zaszkliły się łzami.

- Kocham cię - szepnęła - ale nie chcę z tobą być. Nie będę jeszcze jedną przygodą w twym życiu!

- O Boże... Lin! Lindsay, ja...

Widziała kątem oka, jak podchodzi w jej stronę. Potem słychać było już tylko odgłos obcasów uciekającej roztrzęsionej kobiety. Gdy otworzyła drzwi uderzyło ją światło i gwar przyjęcia. Pamiętała jedynie roześmiane twarze, pary kręcące się po parkiecie i jakiś zdesperowany głos wołający jej imię.

Lindsay stała przy oknie swego biura i wpatrywała się we mgłę, która, przedzierając się między budynkami, opadała powoli na ulice. Wygląda jak olbrzymia płachta waty cukrowej, pomyślała.

Ciężka atlantycka mgła wpełzła do miasta jakąś godzinę temu, bajecznie zmieniając jego kształ-

ty - tak, jakby całe istniało jedynie w wyobraniu obserwatora.

Podobnie Lindsay postrzegała wczorajszy wieczór.

Zamknęła oczy, chcąc zupełnie o nim zapomnieć. W duchu liczyła na to, że Ryan pojedzie za nią do domu albo przynajmniej zadzwoni. Niestety, czekała na próżno. Położyła się więc do łóżka i leżała tak do czwartej rano, wpatrując się w ciemności.

Spojrzała na swe odbicie w szybie. Była przeraźliwie blada, a sińców pod oczami nie ukryłyby żaden makijaż. Mimo wszystko podobała się sobie. Ciemnozielona garsonka i kremowy golf podkreślały jej szczupłą budowę i kolor włosów. Pokiwała z aprobatą głową. Prezentowała się jak godny zaufania fachowiec, a nie rozhisteryzowana panienska...

- ... czeka na ciebie, Lindsay?

Drgnęła, odwracając się od okna. Trzymała w ręku kubek, lecz zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, skąd się tam wzięł. Marg natomiast dziwnie się jej przyglądała.

- Przepraszam, zamyśliłam się. - Zmrużyła lekko oczy, jakby nadal raziło ją słońce z Cape Cod. Miała wrażenie, że jej skóra jest wilgotna i zapiaszczona, a usta wciąż czują smak Ryana.

Do cholery z przeszłością! Gdy wczoraj wreszcie udało jej się zasnąć, we snach widziała Cape Cod i Ryana. Od samego rana przeszłość walczy z teraźniejszością.

- Dzwonił Carl. Potrzebuje jeszcze tylko jednego podpisu, żebyś stała się prawowitym właścicielem *Forrest Design*. Wpadnie tu po południu.

- To wspaniale, Marg. Dzięki.

- Nie chcę zawracać ci głowy, ale czy wszystko jest w porządku?

- Zbyt długo się wczoraj bawiłam, a za mało spałam - skłamała. Obudziła się rano z potwornym bólem głowy, zapuchniętymi oczami i czerwonym gardłem. Tłumaczyła sobie, że to wina Dubonneta, ale prawda jest taka, że całą noc przepłakała.

Tak naprawdę to wszystkiego było za dużo. Dubonneta, przyjęcia, no i przede wszystkim Ryana McCrea. Odwróciła się znów do okna. Co doprowadziło do tej bezsensownej rozmowy? Wyglądało na to, że po prostu, trzeba było odreagować minione trzy lata bólu i złości. I właśnie wczoraj nastąpił wybuch wulkanu. Musiała jednak przyznać, że dziś, po raz pierwszy od dwóch tygodni, czuła się bardziej dopasowana do otaczającego świata. Widocznie wczorajszym zachowaniem dał upust gromadzącej się od lat goryczy. Jednak winna jest Ryanowi przerosiny, bowiem nie można w żaden sposób wytłumaczyć agresji. Sprawiała mu ogromną przykrość, a teraz prześladowuje ją wspomnienie wyrazu jego oczu.

Przypomniała sobie o Marg. Odwróciła się do niej z uśmiechem.

- Przepraszam, ale dzisiaj chyba nie będzie ze mnie większego pożytku.

Marg uśmiechnęła się do niej i sięgnęła po kubek.

- A jak udało się wczorajsze przyjęcie?

- W porządku - odparła obojętnie. - Było tylu ważniaków, że można by z nich ukonstytuować władzę nowego państwa.

- Trafiaś do gazet. Poświęcono wam całą kolumnę na stronie wydarzeń towarzyskich. „Piękna

bostońska architektka zdobywa elity swym najnowszym projektem..." i tak dalej, a na stronie poświęconej biznesowi coś w stylu „piękna i błyskotliwa, młoda architektka...". Stałaś się towarzyską sensacją.

- Upchniętą między przepisy kulinarne i krzyżówki. Za tydzień nie będą nawet pamiętać, jak mam na imię.

- Nie sądzę, a już na pewno nie po dzisiejszym dniu. Masz klienta. - Powiedziała podekscytowana Marg. - Jana VanKleefa.

- O Boże, a co on tutaj robi? - Lindsay spojrzała na nią zaskoczona.

- Podejrzewam, że przyniósł ci kontrakt na swoją galerię. Czy mam go tu poprosić?

- Podzielim twój optymizm, ale niestety konkurs został już zamknięty.

Kiedy otworzyła drzwi, VanKleef przeglądał książki na półce Marg. Uśmiechnął się ciepło na widok Lindsay. Podeszła do niego, wyciągając rękę.

- Dzień dobry. Czy napije się pan kawy?

- Nie, dziękuję, właśnie skończyłem śniadanie.

- Uścisnął jej dłoń. - Wygląda pani na wypoczętą. To chyba przywilej młodych. Bawić się do północy i wstać, jakby spało się od paru dni.

Lindsay zaprowadziła go do biura.

- Zaś zaletą dojrzałości jest umiejętność opuszczania przyjęć w odpowiednim momencie.

VanKleef roześmiał się głośno. Położył aktówkę na biurku i wyciągnął z niej plik papierów.

- To chyba należy do pani, panno Forrest. Chciałbym jako pierwszy pogratulować pani.

Wzięła od niego papiery jeszcze nie dowierzając.

- Proszę mi wybaczyć, że trzymałem panią w nie-

pewności. Mogłem już wczoraj o tym powiedzieć, ale... - uśmiechnął się. - Nawet interesy rodzinne muszą być poddane głosowaniu i zatwierdzeniu.

Lindsay starała się zebrać myśli. Przeglądała dokumenty jakby nie rozumiejąc, co się naprawdę wydarzyło. Spojrzała na niego uszczęśliwiona.

- Tworzy pan historię. To pierwsze zamówienie nowej firmy *Forrest Design*.

- Cóż... - zmarszczył brwi. - Należą się pani gratulacje. Gdybym wiedział, że będę świadkiem takiej okazji, przyniosłbym skrzynkę szampana.

- Obawiam się, że tworzące tę okazję zamówienie warte byłoby więcej niż ciężarówka szampana!

- Dziesiąta rano to i tak zbyt wczesna pora na taki trunek - roześmiał się. - Natomiast dziwię się, że McCrea nie ubiegł mnie wczoraj z tą wiadomością.

- Ryan? - spojrzała na niego. - On o tym wiedział?

- Na pewno się domyślał. Zresztą to on panią polecił, gdy wycofał się z tego zamówienia.

- Wycofał się? - szepnęła. - Czy chce pan powiedzieć, że Ryan wycofał się z konkursu?

- Ależ tak. Nie dał się przekonać. - VanKleef spojrzał na nią zdziwiony.

- Jeśli sądzi, że w ten sposób naprawi... - urwała.

- Rozumiem.

Spojrzała na kontrakt. Czyżby to miała być nagroda za pomoc w zniszczeniu Jeffa? A może zrozumiał, że wczorajszego wieczoru zachował się jak idiota i zdecydował, że odda jej to zamówienie na znak pokoju. Ale po co? I pomyśleć, że ona prawie...

Przypomniała sobie o VanKleefie.

- Dziękuję panu bardzo. Mam nadzieję, iż będzie nam się dobrze pracowało.

- Ja również. Wkrótce powinny nadejść oficjalne dokumenty, natomiast moja rada nadzorcza chciałaby się z panią zobaczyć możliwie najszybciej. Może w przyszłym tygodniu?

- Bardzo proszę. - Odprowadziła go do drzwi.
- Pańscy ludzie musieli nad tym pracować przez całą wczorajszą noc. Większość klientów zaczekałaby do poniedziałku.

- Wczorajsza? - roześmiał się. - Ależ skąd, panno Forrest! Zatwierdzenie pani wyboru znalazło się u mnie na biurku dziś rano. Gdyby tak ciężko pracowali, powiedziałbym o tym już wczoraj.

- Ale w jaki sposób...? To znaczy, w jaki sposób Ryan wycofał wczoraj swoją firmę...? - Lindsay nie mogła zrozumieć.

- Wczoraj? McCrea zadzwonił do mnie w zeszłym tygodniu.

- W zeszłym? - powtórzyła jak echo, patrząc na niego przerażona.

- Chyba w piątek. Nie, w czwartek po południu.

- Ale to było zanim... - Zanim ktokolwiek dowiedział się o zniknięciu Jeffa.

Jak przez mgłę pamiętała, że odprowadziła Van-Kleefa do drzwi i zamieniła z nim parę grzecznościowych słów na pożegnanie, ale gdyby ktoś kazał jej to powtórzyć....

Dlaczego? Dlaczego Ryan się wycofał? Czyżby go to znudziło? Nie było wystarczającym wyzwaniem? Wiedziała tylko jedno - cokolwiek wpłynęło na zmianę decyzji Ryana, nie miało to nic wspólnego z Jeffem Websterem.

Poczuła wyrzuty sumienia. Może w ten sposób chciał naprawić swój błąd sprzed trzech lat?

Ale to nie takie łatwe, ostrzegła go w myślach.

Czuła się okropnie. Miała wrażenie, że razem z Van-Kleefem zabawili się jej kosztem, a ona jedynie w wyniku tej gry zdobyła zamówienie.

Odwróciła się raptownie od okna i ruszyła w stronę swego biura.

- Marg, połącz mnie z Ryanem, dobrze? Przynajmniej podziękuję mu za hojność.

Marg spojrzała na nią zaskoczona, lecz nie odezwała się ani słowem.

Lindsay zamknęła drzwi swego biura. Przyznaj się, pomyślała. Jesteś wściekła, bo wczoraj wysłaś na skończoną idiotkę, podczas gdy Ryan stał cicho i wysłuchiwał twych wynurzeń i oskarżeń tak, jakby uznał, że zasłużył na ten wybuch.

Prosił ją wczoraj, by mu zaufała, by dała mu jeszcze jedną szansę. Może wczorajszy wieczór coś zakończył, stając się zarazem początkiem czegoś nowego. Może mogliby odsunąć przeszłość w niepamięć i wszystko zacząć od nowa. Może...

Usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Odwróciła się uśmiechnięta, lecz gdy zobaczyła stojącą w drzwiach Marg i wyraz jej twarzy, zamarła.

- Co się stało?

Marg patrzyła na nią długo, milcząc.

- Lindsay, on... wyjechał.

- Wyjechał? Jak to? Dokąd?!

- Nie wiem - odparła cicho. - Odebrała jego gosposia, ale była tak zdenerwowana, że ledwo zrozumiałam jej słowa. Podobno gdy przyszła rano, był już spakowany. Zostawił jedynie upoważnienie dla adwokata, by wszystko sprzedał, łącznie z domem, i wyszedł. Pani Vanderstadt płakała w słuchawkę. Wiesz, jak ona go lubiła.

Lindsay zamarła.

- Wyjechał? - szepnęła nie dowierzając. - Ale dokąd, dlaczego?

Znów wróciło do niej to bolesne uczucie ściśniętego żołądka. Pamięta, że zadawała sobie te same pytania trzy lata temu. Wszystko działo się dokładnie tak, jak wtedy. Kłótnia, gniew i trzaśnięcie drzwiami. Potem rozpaczliwe telefony w poszukiwaniu Ryana.

Zamknęła na chwilę oczy. Czuła wokół siebie zupełną pustkę. Wszystko straciło sens. Po chwili zreflektowała się, że Marg wciąż jeszcze stoi, zebrała więc wszystkie siły i powiedziała spokojnie:

- No cóż, zawsze lubił efektowne zakończenia. Podejrzewam, że to kolejne z nich. - Wzięła do ręki plik nie otwartych jeszcze listów. - Dziękuję, Marg. To wszystko.

Marg spojrzała na nią tak, jakby jeszcze chciała coś powiedzieć, jednak widocznie zmieniła zdanie, bowiem wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Lindsay odłożyła koperty na biurko, po czym wzięła kubek do ręki.

- I to by było na tyle...

Poczuła, jak palące łzy napływają jej do oczu.

Do diabła z nim!

Nic mi wczoraj nie powiedział - ani o projekcie VanKleefa, ani o swoim wyjeździe. Zwodził pytaniami wiedząc, że wyjeżdża.

Zacisnęła powieki. A zresztą trudno! Jakie znaczenie może mieć interesowanie się planami Ryana McCrea? Wszystko to, czego ona, Lindsay Forrest, potrzebuje, jest tu, w tym pokoju. Wszystko: własna firma, najlepsze zamówienie na świecie i życie bez Ryana.

Nic już nie stoi na przeszkodzie, by poświęcić się pracy. Jest tylko ona i jej kariera.

Wypiła trochę kawy i szybko odstawiła kubek na biurko w obawie, że wszystko rozleje, tak bardzo trzęsły się jej ręce.

Miało być przecież inaczej! Szampan, radość, gratulacje, a nie palące łzy. Co się z nią dzieje? Dlaczego czuje zupełną pustkę, teraz gdy powinna świętować swój triumf? Bo go kochasz, idiotko! Zamknęła oczy, wzdychając głęboko. Tak jak kochałaś wtedy i potem, czekając na niego.

Ale i on ciebie kocha. Starał się to powiedzieć i udowodnić. Zrezygnował z galerii VanKleefa, bo wiedział, jak ważne jest to dla twojej kariery. Przepraszał za błędy sprzed trzech lat, poświęcił się, by udowodnić, jak bardzo cię kocha.

Nie powiedział wczoraj, że wyjeżdża, bo sam o tym jeszcze nie wiedział. Czekał na jakiś znak, że nadal go potrzebujesz. Ty natomiast odwróciłaś się od niego.

Dlatego wyjechał.

Musiała go odnaleźć. Tego nie można tak zostawić. Nawet jeśli jest już za późno, nawet jeśli wczorajszy wieczór zniszczył wszystko, co między nimi było, nie może tego tak zostawić.

Wezwała do siebie Marg.

- Zadzwoń jeszcze raz do Agnes i dowiedz się, dokąd wyjechał.

Teraz poczuła się znacznie lepiej. Wstała zza biurka i podeszła do okna. Po chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi.

To była trochę zdezorientowana Marg.

- Nic z tego nie rozumiem, ale Agnes przysięga, że dokładnie powtarza jego słowa. Kiedy okazało się, że

wszystkie loty do Nowego Jorku zostały odwołane z powodu mgły, wszedł do samochodu i powiedział, że robi małą wycieczkę w przeszłość. Czy rozumiesz coś z tego?

W przeszłość? Ale jak daleko? Po chwili zrozumiała. Było tylko jedno takie miejsce.

Podbiegła do biurka, chwyciła torbę i płaszcz.

- Marg, wyjeżdżam na weekend.

- Wyjeżdżasz? Ale Angela Borowiec będzie na ciebie czekać dziś wieczorem, Carl ma przynieść do podpisania jeszcze parę dokumentów, no i zamówienie VanKleefa...

- W poniedziałek - rzuciła już w drzwiach. - Powiedz im, że wrócę w poniedziałek.

- Gdzie mogę cię złapać?

- Nie możesz - szepnęła. - Ja też odjeżdżam w przeszłość. Muszę cofnąć się o trzy lata.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Popełniam błąd. Lindsay usiłowała zapomnieć o dręczących wątpliwościach i skoncentrować się na otaczającym ją weekendowym ruchu ulicznym. Nagle z mgły wyłonił się most Sagamore, łączący Cape Cod z resztą miasta. Most między przeszłością a teraźniejszością.

A może źle zinterpretowała słowa Agnes i jego wcale tam nie ma? Albo jest, lecz szuka samotności i żegna się z przeszłością. A może nie jest sam...

Uspokój się! pomyślała. Jest tam na pewno.

Najprawdopodobniej dojechał do Herring Cove Beach rano. Powietrze musiało być wtedy jeszcze wilgotne, pachnieć solą, sosną i dębem.

Kochali się tam kiedyś, leżąc na piasku, otoczeni sosnami, trawą i morzem, karceni przez krążące nad nimi mewy. Kochali się w wolnym rytmie, nadawanym przez szum morskich fal.

Gdy podjechała swym mercedesem pod rząd plażowych domków, zapadał zmierzch. Zgasł silnik, a ona wstrzymywała oddech. Był tam, tak jak się tego spodziewała - w mroku ujrzała zarys małego, zgrabnego maserati.

Domek sprawiał wrażenie nie zamieszkanego. Panowała zupełna cisza, wszystkie światła były pogaszone. Zapukała parę razy, lecz nikt nie odpowiadał. Nacisnęła więc klamkę i weszła do środka.

- Ryan...? - powiedziała cicho. - O Boże, a jeśli on jest tu z kobietą...?

Zamarła w bezruchu nasłuchując. Słysząc było jedynie szum drzew otaczających domek i uderzających o brzeg fal. Weszła do salonu.

Nic się tu nie zmieniło. Bardzo miękkie sofy, plecione chodniki, kamienny kominek - miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Spędzili tu wiele chwil, przez moment wydawało się jej, że nadal słyszy szept zakochanych i syczenie palących się w kominku drzew.

Drzwi na taras były otwarte. Podeszła bliżej, by wyrzeć na plażę. Stała tak przez chwilę wdychając zapach mokrego piasku i morskiej wody. Odcinek, który zdołała dojrzeć przez opary mgły był zupełnie spokojny, gdyby nie załamujące się o brzeg fale.

Nagle zobaczyła go. Szedł ze spuszczoną głową i rękoma w kieszeniach. Zatrzymał się, wykopując coś nogą z piasku, po czym schylił się i wziął to do ręki. Obracał przez moment w palcach, by po chwili wyrzucić daleko do morza.

Lindsay zamknęła za sobą drzwi od tarasu i zeszła na plażę. Zdjęła szybko buty i poczuła, że piasek otaczający jej stopy jest jeszcze ciepły.

Żaden z pobliskich domków nie był chyba zamieszkały. Wyglądało na to, że są tu zupełnie sami, poszukując czegoś, co być może nigdy nie istniało, albo żegnając się z marzeniami.

Ryan obejrzał się. Poczuł, że nie jest sam. Widząc ją, zamarł z wrażenia.

- Lindsay? - Podeszedł trochę bliżej, jakby obawiając się, że za chwilę zniknie we mgle równie nagle, jak się pojawiła.

Wcisnęła ręce w kieszenie kurtki i skuliła się, usiłując schronić się przed powiewem wilgotnego powietrza.

- Miałam nadzieję, że cię tu zastanę. - Wbiła wzrok w piasek, nie wiedząc, co ma dalej powiedzieć lub zrobić. - Agnes mówiła, że chcesz sprzedać dom.

- Nie ma sensu go zatrzymywać.

- Mówiła również, że znów wyjeżdżasz. - Rysowała nogą jakieś wzory na piasku.

- To prawda - odparł spokojnie. - Nie miałem prawa wracać i niszczyć twego życia, Lin. Dopiero teraz to zrozumiałem. Ale po prostu sądziłem, że jeśli wrócę, to... zresztą nieważne. - Odwrócił się i spojrzał daleko przed siebie. - Jutro wyjeżdżam.

- Do Nowego Jorku?

- Nie, do Szwajcarii.

- Do Szwajcarii?! - spojrzała na niego przerażona.

- A kiedy... wracasz?

- Nie denerwuj się. Tym razem wyjeżdżam na zawsze. - Uśmiechnął się smutno.

Westchnęła. Miała przez moment wrażenie, że cały świat usuwa się jej spod nóg.

- Na zawsze? Ale...? - Bezradnie opuściła ręce.

- A co z *Kismefi* Twoją pracą nad...?

- Skończyłem już z *Kismet*. Będę pracował w Zurichu.

- Tak... rozumiem. - Odwróciła się zaszokowana. Oczywiście liczyła się z taką możliwością, miała jednak nadzieję, że tym razem Ryan zostanie.

Wiedziała, że musi powiedzieć teraz coś bardzo przemyślanego, zachowując całkowity spokój. Ale czuła tylko pustkę. Podniosła głowę i ich spojrzenia spotkały się. Wyciągnął do niej rękę w chwili, gdy zrobiła krok w jego stronę. Przyciągnął Lindsay

mocno do siebie, a ona wtuliła się w niego, zaciskając powieki.

- O Boże! - szepnął, ukrywając twarz w jej włosach.

- Ryan! - Objęła go za szyję, wspinając się wysoko na palcach.

Nachylił się nad nią i zaczął całować tak zachłannie, jakby to miał być już ich ostatni pocałunek. Po czym raptownie ją puścił.

- Życzę ci, żebyś odnalazła swój cel w życiu. Ja...
- urwał. - Trzymaj się, Lin. Zaslugujesz na więcej, niż ja kiedykolwiek ci dałem.

- Nie odchodź, Rynie. - Spojrzała na niego, zaskoczona, że tak łatwo jej to poszło. Ale nie miała już żadnych wątpliwości.

Znieruchomiał i patrzył na nią pytająco. Wytrzymała to spojrzenie.

- Kocham cię i nie chcę, byś odchodził.

Teraz on westchnął.

- Może jest już za późno - szepnęła. - Ale nie mogłam pozwolić ci odjechać, zanim nie usłyszysz, co mam ci do powiedzenia.

- Jesteś pewna? - spytał spokojnie. - Bo jeśli nie, to trudno. Nie mam prawa wymagać od ciebie odpowiedzi, której sam szukałem przez trzy lata. Zresztą masz dużo czasu do namysłu, bo ja chcę cię już na zawsze, kochanie. Żadne tam...

- Kocham cię - szepnęła.

I oto znów była w jego ramionach. Całował ją, powtarzając jej imię.

- Lin! - szeptał. - Spędziłem tu cały dzień, tłumacząc sobie, że to koniec, że nie ma już szans. - Przycisnął ją mocniej do siebie. - Nie wiem, co mnie tu przywiodło. Wiem tylko, że ten fragment przeszłości

jest dla mnie jak magnes. Chodziłem przez cały dzień po plaży, myśląc, wspominając. Spoglądałem w stronę domku, sądząc, że cię tam zobaczę... - Odsunął się trochę, by się jej przyjrzeć. - Nieźle mnie przestraszyłaś. Przez moment miałem wrażenie, że śnię, a potem, że naprawdę cofnąłem się o trzy lata.

Była jak zauroczona, rozkoszując się jego zapachem i dotykiem.

- Och, Ryane. Wypowiedziałam wczoraj tyle okrutnych, niemądrych słów.

- Sza... - Położył jej palec na ustach. - Wszystko jest już za nami. Zbyt długo się tym dręczyłaś. Nie byłoby nas tu dziś, gdybyś tego raz na zawsze z siebie nie wyrzuciła.

- Wydawało mi się, że zapomniałam o tym już parę lat temu - szepnęła. - Myślałam...

Przerwał jej ponownie, tym razem zamykając usta czułym pocałunkiem.

- Zapomnij o tym. To nie ma nic wspólnego z dniem dzisiejszym, czy nawet z ostatnimi tygodniami. Mamy to już za sobą.

Zaczął ją znów całować, chcąc się upewnić, że to nie przywidzenie. Lindsay poddała się tej pieśczości z rozkoszną uległością. Zadrżała. Ryan niechętnie oderwał usta.

- Zimno ci...

- Troszeczkę.

- Mogę cię ogrzać - mruknął cicho. Objął jej pośladki i przyciągnął do siebie. - Pozwól mi się ogrzać, Lin.

- A jak chcesz to zrobić?

- Zaraz ci zademonstruję - szepnęła jej do ucha, po

czym szybko przystąpił do działania. Lindsay poczuła miłe obezwładnienie.

Spojrzała na niego leciutko zawstydzona. Ryan mruknął coś niezrozumiale. Położyła palec na ustach i jedną ręką zaczęła rozpinąć mu koszulę, drugą zaś masować delikatnie jego rozpalone ciało. Jęknął tylko, przyciągając ją do siebie. Całowała jego szyję, czując rytmiczne bicie tętna, po czym zaczęła wodzić ustami coraz niżej, by za chwilę znów wrócić do szyi i brody.

- Kocham cię - akcentowała każde słowo drobnym pocałunkiem. - Chcę się z tobą kochać przez cały weekend.

Mruknął coś, całując ją zachłannie. Wsunął jej ręce pod sweter, szybko rozpinając stanik, żeby zaraz potem pieścić jej piersi. Po chwili niecierpliwie zerwał z niej sweter i przyciągnął do siebie nagą. Ich usta zetknęły się ponownie w namiętym pocałunku.

- Ja chyba śnię, błagam, nie budź mnie - szeptał, prawie nie odrywając od niej usta. - Tym razem byłem już przekonany, że straciłem cię na zawsze.

- Nigdy mnie nie straciłeś - szepnęła.

Posadził ją na tarasie, a sam szybko zdjął kurtkę i rozpiętą już koszulę. Potem wyswobodził się ze spodni i butów.

Lindsay klęknęła przed nim i wolnym ruchem pozbawiła go ostatniego fragmentu garderoby. Muskała palcami wnętrze jego ud, po czym nachyliła się całując go delikatnie. Ryan głośno jęknął z rozkoszy. Szeptał raz po raz jej imię, a Lindsay nie przestawała go pieścić. Nachylił się i pomógł jej wstać.

- Teraz moja kolej - mruknął. - Nie jest ci zimno?

- Nie - szepnęła.

Byli tu jak w ukryciu. Wystarczająco wysoko nad

plażą i w wystarczająco dobrze osłoniętym od wiatru miejscu. Mogli się tu czuć jak na bezludnej wyspie, tylko ich dwoje, księżyc i morze.

Przysunął się do niej i zaczął całować jej piersi. Zataczał językiem drobne kręgi pobudzając małe różowe brodawki. Lindsay jęknęła, odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy.

Poczuła, jak Ryan rozpina jej spodnie i klękając przed nią, ściąga je razem z majtkami. Położyła mu lekko dłonie na ramionach, by móc utrzymać równowagę, wyjmując ze spodni najpierw prawą, a potem lewą nogę. Stała teraz przed nim zupełnie naga.

Zaczął całować jej brzuch, drażniąc językiem pępek, zostawiał szlak wilgotnych pocałunków, coraz mocniej ją podniecając. Czowała jego usta coraz niżej, a gdy dotarły wreszcie do celu, zdołała jedynie westchnąć:

- Ryan...!

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Osunęła się w ramiona kochanka i zaczęła go namiętnie całować. Poczuła ciepłe i spragnione pocałunków usta, gorące i niecierpliwe ciało.

- O Boże, Lindsay, jesteś rozpalona jak ogień.

- O tak - zaśmiała się cicho. Leżała na nim, obsypując go drobnymi pocałunkami. - Dopiero teraz wiem, czego naprawdę potrzebowałam. A skoro już to mam, nie zamierzam z tego zrezygnować.

- Czarownica - przekomarzał się Ryan. - Więc jakie jest pani życzenie?

- Ty - szepnęła, całując go. - Tylko ty, Rynie i to na zawsze.

Przytulił ją do siebie i leżeli w ten sposób przez chwilę, która wydawała się nieskończona. W którymś momencie, jakby we śnie, poczuła rytmiczne ruchy

Ryana. Gładził jej plecy i ramiona, pomagając dopasować się do siebie. Szeptał coś cicho, po czym jęknął, czując, jak coraz głębiej zanurza się w nią.

Wyprostowała się, prężąc lekko plecy. Czuła jego spojrzenie na sobie, wiedziała, że jest teraz piękna. Nie potrzebowała już żadnych słów, świadoma tego, jak bardzo podnieca go widok jej ciała.

Ją z kolei podniecała szorstkość dłoni Ryana, gdy pieścił jej piersi. Potem, gdy objął ją w talii i mocno do siebie przytulił, odpowiedziała na tę milczącą prośbę bez chwili wahania. Ryan jęknął z wrażenia, szepcząc cicho jej imię.

Oddała mu się bez reszty. Nigdy dotąd nie czuła takiej bliskości z Ryanem. To już nie był tylko akt fizycznego zbliżenia, lecz przenikanie się dusz przez splecione ze sobą ciała.

Gdy nastąpił kulminacyjny moment, zupełnie stracili panowanie nad sobą. Słyszeć było jedynie ich żarliwy szept.

- Ryan...! - krzyknęła, opadając bezsilnie w jego ramiona. Czuła, jak spazm rozkoszy przeszywa ich ciała. Ryan krzyknął coś głośno i przyciągnął ją do siebie. Leżeli teraz w bezruchu, starając się złapać oddech.

Objął ją, kołysząc delikatnie i całując.

- Lin... Kotku... Strasznie cię kocham! - pocałował ją w policzek i znieruchomiał. - Czemu płaczesz? Co się stało, Lin?

- Ni... nic - szlochała i śmiała się na przemian. Te łzy zaskoczyły ją prawie tak samo jak Ryana. - Bo... jeszcze nigdy nie przeżyliśmy czegoś takiego...

- Wiem - szepnął, obejmując ją jeszcze mocniej.
- Jak sobie pomyślę, że o mało cię nie straciłem...
- Odwrócił się na bok i odgarnął jej włosy z twarzy.

- Przez cały czas czegoś szukałem. Sądziłem, że jeśli znajdę dobre zamówienie, poważne wyzwanie, to znów będę szczęśliwy. Okazało się jednak, że to chodziło o ciebie, Lin. - Pocałował ją. - To o ciebie chodziło przez cały czas...

- Wiem. - Spojrzała na niego czule, zastanawiając się, jak mogła żyć bez tego mężczyzny. - Chyba dlatego z tobą walczyłam. Już prawie sobie wmówiłam, że nie jesteś mi potrzebny, że zdołam zapełnić tę lukę pracą i przyjaciółmi. Byłam przerażona, gdy zrozumiałam, iż nadal cię kocham; przerażona, że znów znikniesz...

- Nie ma mowy - odparł spokojnie. - Tym razem nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Zresztą zamierzam podpisać umowę.

- Akt regulujący zakres obowiązków i odpowiedzialności, tak? - droczyła się.

Spojrzał na nią tajemniczo.

- Akt małżeński - odparł po chwili. - Warunki i gwarancje do ustalenia w późniejszym terminie.

- Zanim będziemy w stanie wprowadzić wszystkie jego punkty w życie, może upłynąć ładnych parę lat, panie McCrea.

- Zacznijmy więc już od dziś, panno Forrest - szepnął całując ją delikatnie. - Spróbujmy zapoznać się z wszystkimi możliwościami.

- Sądzę, że w tej materii twoja pozycja jest ugruntowana.

- To prawda, ale ja zawsze dążę do perfekcji - odparł, nie przestając jej całować. - Natomiast w tej chwili robi się piekielnie zimno. Czy jadłaś już coś?

- Nie - spojrzała na niego zdziwiona. - Czyżbyś zrobił zakupy po drodze?

- Tylko butelkę whisky... - Popatrzył na nią zakłopotany.

Zdziwiła się. Ryan pił bardzo rzadko, nigdy nie widziała go nawet w stanie lekkiego upojenia. Wzdrygnęła się na myśl, że przyjechał tu utopić swe problemy w alkoholu.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy, on zaś pochwycił ją i delikatnie pocałował. Pomagając wstać, okrył ją koszulą i zaprowadził do środka.

- Rozpalę w kominku i skoczę szybko do miasta po jakieś morskie specjały. A może wolisz pojechać ze mną do Provincetown?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Nie planowałam się już dziś ubierać. No chyba, że... - spojrzała na niego z udawaną powagą - wolałbyś...

- Gdyby to o mnie chodziło, to nie pozwoliłbym ci się ubrać przez cały weekend. - Podeszedł do kominka, jeszcze zupełnie nagi. - No to co, homary?

- Homary, muchy, ośmiornice, cokolwiek tam mają żywego. Umieram z głodu!

- To pewnie dzięki świeżemu morskemu powietrzu, światłu księżyca, no i oczywiście mnie... - uśmiechnął się zawadiacko. - Poczekaj, aż zobaczysz, co przygotuję na deser.

- Ty żarłoku - odparła wesoło, narzucając na siebie koszulę.

- Mówi się smakoszu.

Zebrała wszystkie włosy do góry i przeciągnęła się mrużąc niczym zadowolona kotka. Ryan kłęczał jeszcze przed kominkiem, dorzucając dREW do ognia.

Lindsay usiadła wygodnie w jednym z miękkich foteli i obserwowała go uważnie.

- Ryan... - Spojrzał na nią przez ramię. Twarz

miął rozpaloną ciepłym kominka. - Czemu zrezygnowałaś z galerii VanKleefa?

Wstał powoli, otrzepując ręce.

- Więc wiesz o tym.

- Był u mnie rano. Przyniósł mi kontrakt.

Pokiwał głową, patrząc w płomienie.

- Czemu mi o tym wczoraj nie powiedziałaś?

- spytała cicho, patrząc jak się ubiera.

- Bałem się, że pomyślisz, iż chcę cię przekupić; że wykorzystałem tę galerię, by dobrać się do Jeffa, a kiedy zniknął, podsunąłem zamówienie tobie, by wkraść się w twe łaski. - Wyglądał na zakłopotanego.

- Ty natomiast nie byłaś wczoraj w nastroju do zawierania pokoju. Czułaś się zraniona i wściekła, więc postanowiłem odłożyć tę rozmowę na inny dzień.

Zaczerwieniła się na wspomnienie tych wszystkich skierowanych pod jego adresem oskarżeń.

- Próbowałem naprowadzić rozmowę na ten temat, ale ponieważ nie reagowałaś, uznałem, że o niczym nie wiesz. Ale i tak musiałbym ci o tym powiedzieć, jeszcze przed powrotem do Bostonu, żebyś nie myślała... - wzruszył ramionami - że chcę kupić twoje przebaczenie.

- Nic nie wspomniałam - powiedziała cicho - bo z kolei ja nie chciałam, by wyglądało na to, iż przyjechałam tu z wdzięczności. Jestem tu, bo cię kocham, a nie z powodu wyrzutów sumienia.

- Wiem, głuptasku. - Podszedł do niej i przytulił do siebie. - Nienawidziłem Jeffa. Wmówiłem sobie, że przejął moją firmę, moje projekty i, co najważniejsze, moją kobietę. Zdecydowałem więc wrócić i zniszczyć go. Musiałem jednak zrobić to tak, by tobie nie wyrządzić krzywdy. Dlatego ukryłem się w Nowym

Jorku. Wiedziałem, że wcześniej czy później Jeff domyśli się, o co chodzi i zacznie mnie szukać.

Umilkł na chwilę i westchnął.

- Miałem już nawet całkiem interesujący plan wykończenia Jeffa. Wróciłbym wtedy jak rycerz spieszący z odsieczą swej damie. - Uśmiechnął się i pokręcił głową. - Zrozumiałem dopiero po trzech miesiącach, że jedynym wkładem Jeffa w *Webster i Forrest* jest jego nazwisko, więc nie było żadnego sposobu, by dopaść go przez firmę, bowiem musiałbym skrzywdzić ciebie. I wtedy zrozumiałem, że Webster nie jest wart tego wysiłku, natomiast mogłoby to przekreślić szansę na nasz związek. Wiedziałem, że jeśli dowiesz się o *Kismet*, nigdy mi tego nie wybaczysz. Postanowiłem więc z tym skończyć. Jednak było już za późno. Zabraliśmy wam cztery zamówienia, a Jeff był na moim tropie w Nowym Jorku. Nie mogłem nic zrobić z poprzednimi czterema projektami, ale miałem jeszcze wpływ na konkurs VanKleefa - łudziłem się, że zdążę, zanim się o wszystkim dowiesz. Zadzwoiłem więc do niego w czwartek, zaraz po wyjściu z twego biura.

Lindsay milczała, patrząc mu prosto w oczy.

- A w piątek postanowiłem zerwać z przeszłością, która nie dawała nam żyć. - Spojrzał na nią. - Zrozumiałem, że muszę się pozbyć *Kismet*. Dlatego wyjechałem do Nowego Jorku.

- Pozbyć się *Kismet*? - powtórzyła jak echo.

- Przestało istnieć w poniedziałek.

Była tak zaskoczona, że nie mogła wydobyć z siebie słowa. Ryan roześmiał się nagle.

- Znajdziesz jakieś miejsce dla bezrobotnego architekta?

Zaskoczenie Lindsay ustąpiło miejsca nagłej radości.

Wreszcie liczyła się tylko teraźniejszość i nadzieja na dobre jutro.

- Chyba tak. - Objęła go za szyję. - Będę potrzebowała dwóch dobrych architektów. Kogoś, kto potrafi odróżnić jeden koniec ołówka od drugiego, kto może pracować samodzielnie. Kogoś, kto będzie wykonywał moje polecenia....

- Teraz już trochę przesadziłaś - roześmiał się.

- Cóż to za propozycja?

Zamyśliła się na chwilę.

- Zawsze wydawało mi się, że *Forrest Design* brzmi mało poważnie. Może powinnam poszukać partnera.

- Co powiesz na *McCrea i Forrest*!

- Myślałam raczej o *Forrest i McCrea*.

- A co myślisz o *McCrea i McCrea*? - Pocałował ją delikatnie.

- Można się nad tym zastanowić - mruknęła. - Co ty robisz?

- Rozpinam koszulę.

- Podczas gdy ja jeszcze w niej jestem?

- Dzięki temu jest to o wiele ciekawsze. - Przyciągnął ją do siebie. Jego ręce wędrowały po całym ciele kochanki, odkrywając każdy zakątek. - A gdybyśmy tak przeszli od razu do deseru, o którym wspominałem?

Koszula zsunęła się jej z ramion i spadła na podłogę. Lindsay poczuła miły dreszczyk.

- A wiesz, że chyba nawet przestałam być głodna...

- To bardzo dobrze - mruknął. - Bo chyba minie jeszcze dużo czasu, zanim będziemy mogli zasiąść do obiadu...